LUBLIN Czyt. 2552/1982/17

Rock, czyli głos pokolenia - str. 12

Krzyżówka str. 12
NAGRODA 500 ZŁ

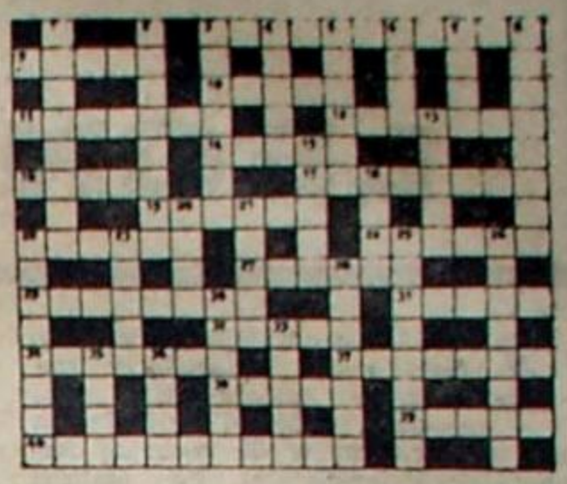

Wywiad „Kameny" z G. Danielssonem znanym pisarzem islandzkim - str. 3

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Rok założenia 1933

kamena

NR 17 (763) 21 listopada - 4 grudnia 1982 CENA 10 ZŁ

W 40-lecie wielkiej zbrodni

28 listopada 1942 r.

zapadł wyrok na Zamojszczyznę

WOSTATNIM dniu listopada w Zamościu rozpoczyna się sesja naukowa — „Społeczeństwo polskie wobec hitlerowskich wysiedleń w Zamojszczyźnie w latach okupacji hitlerowskiej", zorganizowana przez Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, przy współudziale miejscowych władz oraz środowisk naukowych. W ten sposób zostanie upamiętniona czterdziesta rocznica hitlerowskich akcji wysiedleńczych w tym regionie.

Zamojszczyzna należała do tych ziem polskich, które najbardziej ucierpiały od okupanta, tutaj obficie płynęła krew partyzantów i ludności cywilnej, tutaj 28 listopada 1942 r. rozpoczęto słynną, zakrojoną na ogromną skalę, akcję wysiedleńczą, którą kierował dowódca SS i policji na dystrykt lubelski, Odilo Globocnik. Zamojszczyzna, zasiedlona przez Niemców, miała się stać w przyszłości „państwem SS", Zamość przechrzczono na Himmlerstadt. To właśnie Himmler wydał w dniu 12 listopada 1942 r. „rozporządzenie 17 C", będące formalnym aktem uznającym Zamojszczyznę za pierwszy obszar osadnictwa niemieckiego w Generalnej Guberni. W ciągu niespełna ośmiu miesięcy — od listopada 1942 r. do 15 lipca 1943 r. — hitlerowcy, wysiedlając polską ludność w sposób wyjątkowo barbarzyński, rozstrzeliwując, rabując, paląc całe wsie, pozbawili dachu nad głową ponad 110 tysięcy mieszkańców regionu. Znane są okrucieństwa Niemców wobec dzieci Zamojszczyzny: 30 tysięcy dzieci ze wsi, miast i miasteczek poszło na tułaczkę i poniewierkę — część z nich postanowiono zgermanizować, inne wysłano do obozów koncentracyjnych lub osadzono — po rozłączeniu z rodzicami — w powiatach garwolińskim, siedleckim, mińskim i sokołowskim. Pamiętamy do dzisiaj bohaterstwo polskich kolejarzy i ludności cywilnej wykradającej dzieci z transportów kolejowych, gdzie marły z głodu i zimna.

15 sierpnia 1942 r. Hans Frank, przemawiając w Kra-

Dokończenie na str. 6

BIORYTMY

ANNA BOCIAN: — Zainteresowanie biorytmami wzmaga się wraz z naszą przychylnością dla natury, a bierze się nie z przesytu cywilizacją, ale z wielu jej niedoskonałości. Pan, jako współautor książki „Tajemnice biorytmów" napisanej razem z Marią Juszczyk, może powiedzieć, jakie praktyczne korzyści moglibyśmy mieć ze znajomości biorytmów. Ale na początek — czym są biorytmy?

ZYGMUNT JAŃCZYK: — Biorytmy to zjawiska fizjologiczne powtarzające się z zadziwiającą regularnością. Jednym z najpopularniejszych biorytmów jest doba. Do najkrótszych należą impulsy w układzie nerwowym, do wieloletnich — rytm powstawania i zanikania plam na słońcu. Biorytmom podlega przyroda, więc podporządkowuje się im i organizm człowieka. Częstotliwość ich zależy od czynników zewnętrznych (przyciąganie ziemi, magnetyzm, promieniowanie kosmiczne, jonizacja powietrza, promieniowa-

Dokończenie na str. 10

Grażyna Jakubecka
Fot.: Jacek Mirosław

Marzenia przed zaśnięciem

Waldemar Piasecki

GRAŻYNA Jakubecka jest ładną dziewczyną. W jej zawodzie jest to bardzo ważne, choć może nie najważniejsze. W jej zawodzie ważniejsze jest szczęście.

Szczęście jej na razie dopisuje, czego się trochę boi, bo kiedyś może — przestać i wówczas będzie zdana tylko na własne umiejętności, urodę i chęci. Z tym, że „chęci" to jest powiedziane zbyt ogólnie, bo lepiej byłoby użyć angielskiego „drive", co z kolei u nas nie ma dosłownego odpowiednika. I tak, między podejrzeniem o snobowanie, a niemożnością wyrażenia jednym słowem rzeczy ważnej, Grażyna Jakubecka zmywa talerze w małej kuchence mieszkania, na ostatnim piętrze w wieżowcu przy Sympatycznej 1. Woda dudni w rurach, a ona precyzuje: chodzi jej o to, że ma „ciąg na bramkę", czyli do celu, czyli nie zraża się łatwo i raczej woli sama próbować sterować swoim losem, niż tego sterowania oczekiwać. Oczywiście w pewnych granicach, bo tak zupełnie poza sterowaniem żyć się nie da, co jest refleksją ogólną, a nie aluzją polityczną.

Grażyna urodziła się 19 marca 1956 roku w Przemyślu. Rodzice posłali ją do szkoły muzycznej I stopnia, którą ukończyła, ale już bez dalszej motywacji do robienia konkurencji Piotrowi Paleczn-emu. W Liceum Ogólnokształcącym im. Broniew-

Dokończenie na str. 8—9

1906 - 1982
LEONID ILJICZ BREŻNIEW

ZMARŁ Leonid Iljicz Breżniew, zmarł nagle w środowy poranek, a jeszcze trzy dni przedtem odbierał defiladę na Placu Czerwonym w 65 rocznicę Rewolucji Październikowej. Po śmierci Aleksieja Kosygina i Michaiła Susłowa jest to kolejna — najboleśniejsza — strata nie tylko dla narodów Związku Radzieckiego. Odszedł Człowiek, którego działalność w poważnej mierze zaważyła na kształcie współczesnego świata.

Droga życiowa Leonida Breżniewa to wielka służba socjalistycznej Ojczyźnie zarówno w czasach pokoju jak i w czasach wojny.

Już jako 15-letni chłopiec zaczął pracować w stalowni w Dnieprodzierżyńsku (dawniej Kamienskoje), początkowo jako robotnik, a później — po ukończeniu Instytutu Metalurgii — jako inżynier. „Sposób bycia w fabryce — wspominał potem — myśli i nadzieje ludzi pracy oraz ich stosunek do życia — wszystko to miało decydujący wpływ na kształtowanie mego światopoglądu. To, co się wówczas uformowało, pozostało we mnie na całe życie".

Przed studiami w Instytucie Metalurgii był kurs w technikum rolniczym w Kursku. Epizod w życiorysie, ale krótka praca geodety pozwoliła mu dobrze poznać problemy wsi — przydało to się w późniejszym okresie.

Do partii komunistycznej wstąpił Leonid Breżniew w 1931 roku. Jego zdolności organizacyjne, wiedza i talent zostały dostrzeżone: w 1939 r. wybrano go sekretarzem dniepropietrowskiego komitetu obwodowego partii; nie ukończył jeszcze wówczas 33 lat!

Gdy Niemcy hitlerowskie napadły na ZSRR, Breżniew natychmiast zwrócił się do KC partii z prośbą o wysłanie go na front. Doszedł od Noworosyjska do Pragi, zawsze na pierwszej linii. Kiedy w 1943 r. Armia Radziecka przystąpiła do wielkiej kontrofensywy, partia zaczęła odwoływać swych działaczy w frontu. Min. i Breżniewowi polecono powrócić na stanowisko sekretarza komitetu obwodowego. „Zwróciłem się — wspominał — o zezwolenie pozostania na froncie do końca i dumny jestem z faktu, że przeszedłem przez wojnę od początku do końca, zdobyłem przywilej uczestniczenia w defiladzie zwycięstwa w Moskwie..." Był wówczas generałem-majorem. Munduru nie zrzucił jeszcze przez rok, został bowiem szefem Zarządu Politycznego Przykarpackiego Okręgu Wojskowego.

W sierpniu 1946 r. objął nowe stanowisko: sekretarza komitetu obwodowego w Zaporożu, a w listopadzie 1947 r. — w Dniepropietrowsku. W dużej mierze jego zasługą było, że zniszczony w czasie wojny kombinat hutniczy „Zaporożstal" mógł zostać uruchomiony już po dwóch latach, podobnie jak legendarny „Dnieproges" — wówczas jedna z największych w kraju elektrownia wodna.

Od czerwca 1950 r. do października 1952 r. Breżniew kierował — jako I sekretarz — Komitetem Centralnym Mołdawskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Na XIX Zjeździe KPZR został członkiem KC, a na plenum KC w październiku 1952 r. — zastępcą członka Prezydium (dziś Biuro Polityczne) i sekretarzem KC.

Kolejne odpowiedzialne zadanie czekało Breżniewa w Kazachstanie. Kraj potrzebował więcej zboża i właśnie w Kazachstanie znajdowały się największe obszary ziem niezagospodarowanych. W lutym 1954 r. wybrano go drugim, a w sierpniu 1955 r. — I sekretarzem KC Komunistycznej Partii Kazachstanu. Według zgodnej opinii ludzi, którzy z nim wówczas pracowali, odegrał on wybitną rolę w tym rejonie kraju. W sumie na Wschodzie zaorano 42 mln ha, z tego ponad 60 proc. w Kazachskiej SRR.

Czerwiec 1957 r. i znów Moskwa. Nowa funkcja partyjna — członka Prezydium KC KPZR. KC powierzył Breżniewowi poważne zadanie — chodziło o rozwiązywanie problemów dalszego rozwoju przemysłu ciężkiego w celu wyposażenia sił zbrojnych w nowoczesny sprzęt i realizowanie programu badań kosmicznych.

W latach 1960—1964 kolejna niezwykle odpowiedzialna praca na stanowisku przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej ZSRR. I wreszcie w październiku 1964 r. wybór na I sekretarza KC KPZR (później — Sekretarza Generalnego).

Nekrolog KC KPZR, Prezydium Rady Najwyższej i Rady Ministrów ZSRR głosi m.in.:

„Z jego niestrudzoną działalnością teoretyczną, polityczną i organizatorską wiąże się nierozerwanie dalszy rozwój i umocnienie Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Niezłomnie przestrzegając nauk i wskazań Lenina, troszczył się nieustannie o to, aby partia jak najwszechstronniej wypełniała rolę kierowniczej i przewodniej siły społeczeństwa radzieckiego, organizatora i inspiratora twórczych działań milionowych mas, politycznej awangardy narodu radzieckiego".

Leonid Breżniew pracował niezwykle intensywnie. Przed 11 laty przeprowadził z nim rozmowę korespondent „L'Humanite", Pierre Durant. Pisał potem:

„Jeśli nie podróżuje po kraju lub po zagranicy, Breżniew spędza czas w swoim biurze w KC. Pracuje tam aż do dziesiątej wieczór, jedząc na miejscu. Po powrocie do domu czyta jeszcze materiały, dokumenty. [...] — Widzicie — tłumaczy się — kiedy pracuje się cały dzień, problemy nie chcą już opuścić głowy, kotłują się w niej. Szczególnie problemy tak wielkiego kraju. Kiedy ludzie na Południu składają reklamacje w sprawie letniej odzieży, trzeba jeszcze myśleć o futrzanych butach dla ludzi na Północy..."

Skomplikowane problemy wewnętrzne kraju, które z sukcesami rozwiązywał, nigdy nie przesłaniały mu problematyki międzynarodowej. Cała jego działalność miała na celu zachowanie i umocnienie pokoju. Sam dobrze wiedział, jakie nieszczęścia niesie wojna, toteż konsekwentnie starał się zapobiegać nuklearnej katastrofie.

„Na przestrzeni wieków w Europie, a zresztą nie tylko w Europie, prawie każde pokolenie miało „swoją wojnę". Nasze pokolenie musiało dźwigać ciężar najbardziej niszczycielskiej wojny w historii ludzkości. Jej blizny pozostały na milionach z nas, na ziemi naszych krajów — tak mówił w 1974 r. na posiedzeniu Sejmu PRL — w pamięci naszych narodów. Nie pozwalają one zapomnieć nam, żywym, o obowiązku wobec tych, których zabrakło i wobec tych którzy nadejdą, aby kontynuować nasze dzieło. [...] Przez stulecia ludzkość, dążąc do zapewnienia sobie bezpieczeństwa, kierowała się dewizą: „Jeśli pragniesz pokoju — gotuj się do wojny". W naszej nuklearnej epoce dewiza ta kryje szczególne niebezpieczeństwo. Człowiek umiera tylko raz, ale w ciągu ostatnich lat nagromadzono już taką masę broni, która umożliwia wielokrotne unicestwienie wszystkiego, co jest żywe na ziemi. Wyraźnie to rozumiejąc, mówiliśmy i mówimy ponownie: „Jeśli chcesz pokoju — prowadź politykę pokojową, walcz o tę politykę!" Było to, jest i będzie dewizą naszej socjalistycznej polityki zagranicznej".

Przypomnijmy niektóre fakty. Jesienią 1970 r. doszło do normalizacji stosunków między ZSRR a RFN. Niemcy Zachodnie uznały istniejące granice w Europie. Układ ZSRR—RFN utorował drogę do układu Polska—RFN.

W 1972 r. USA i ZSRR podpisały układ SALT I, ograniczający wyścig zbrojeń rakietowych. Breżniew wniósł niemały wkład w osiągnięcie tego doniosłego porozumienia.

Kilka lat później odbyła się w Helsinkach Konferencja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie i nastąpiło podpisanie Aktu Końcowego.

W 1979 r. Breżniew i Carter zawarli w Wiedniu porozumienie o ograniczeniu broni strategicznych SALT II.

W marcu br. na kongresie związków zawodowych w Moskwie Breżniew ogłosił decyzję o całkowitym i jednostronnym zamrożeniu radzieckich zbrojeń nuklearnych średniego zasięgu w europejskiej części ZSRR...

Niestety, dialog radziecko-amerykański uległ, mówiąc delikatnie, zahamowaniu z chwilą zmiany warty w Białym Domu i objęcia stanowiska prezydenta USA przez Reagana. Ten nagły zwrot polityki amerykańskiej spowodował, że nie doszło do spotkania przywódców obu krajów.

Osobny rozdział to stosunek Leonida Breżniewa do Polski. Z troską obserwował on niebezpieczny rozwój wydarzeń w naszym kraju w 1981 r., ale wierzył w siłę PZPR, w zdolność narodu polskiego do samodzielnego wyjścia z kryzysu. „Wszystkim, z czym możemy — mówił — pomagaliśmy socjalistycznej Polsce. I będziemy nadal pomagać. To nie są tylko słowa..."

Odszedł na zawsze Leonid Iljicz Breżniew. Nowo wybrany sekretarz generalny KC KPZR, Jurij Andropow, zapewnił, że wszystkie swe siły, wiedzę i doświadczenie życiowe poświęci dla pomyślnej realizacji programu budownictwa komunistycznego, podniesienia dobrobytu ludności, utrwalenia pokoju, dla realizacji całej leninowskiej polityki wewnętrznej i zagranicznej, jaka prowadzona była za życia Leonida Breżniewa.

M. Jesion

KRONIKA

● Zakończono skup buraków cukrowych, kampania rozwija się doskonale, do końca pierwszej dekady listopada 11 fabryk przedsiębiorstwa „Cukrownie Lubelskie" wyprodukowało około 149 tys. ton cukru. Najlepiej spisują się Warbkowice.

● „Odsiecz wiedeńska i stosunki polsko-austriackie w latach 1683—1983" to nazwa sesji naukowej, jaką w dniach 4—5 listopada urządziły w Lublinie: Polonijne Centrum Kulturalno-Oświatowe UMCS i Towarzystwo „Polonia". Wygłoszono wiele interesujących referatów i komunikatów, których autorami byli naukowcy z UMCS, UJ, UW, KUL, Uniwersytetu Wiedeńskiego i in. Tym samym zainaugurowano obchody 300 rocznicy zwycięstwa pod Wiedniem. Dorobek sesji ukaże się drukiem — zapewne w czerwcu 1983 r., a więc niedługo przed dokładną rocznicą (300) bitwy.

● W Trześniowie pod Lublinem jest ropa naftowa, jak twierdzą fachowcy, niewielka, ale warta eksploatacji. Na miejscu instaluje się urządzenia wydobywcze. Miejmy nadzieję, że złoża okażą się bogatsze, niż się przypuszcza.

● Z udziałem prymasa Polski, ks. abp. dr. Józefa Glempa, i ministra — kierownika Urzędu ds. Wyznań, prof. dr. Adama Łopatki, 7 listopada odbyła się inauguracja kolejnego roku akademickiego KUL. Poinformowano m.in., że wszystkie wydziały uczelni posiadają już prawo nadawania stopnia doktora i doktora habilitowanego. W szkole studiuje 2700 osób.

● Prawdopodobnie około 1 grudnia ruszy w Bogdance przemysłowa eksploatacja węgla. Wcześniej przy kopalni otwarty zostanie bar szybkiej obsługi (1500 posiłków dziennie).

● W kolejną rocznicę utworzenia Rady Delegatów Robotniczych miasta Lublina złożono wieńce i kwiaty pod pamiątkową tablicą, umieszczoną na ścianie ratusza.

● Lubelskie Fabryki Wag przekraczają plany produkcyjne — przy zatrudnieniu niższym o 5 proc. od ubiegłorocznego, przez 8-procentowy wzrost wydajności pracy. Pomyślnie rozwija się eksport: do ZSRR, Czechosłowacji, na Węgry i Kubę, do Wietnamu.

● Samochodowa giełda lubelska — 7 listopada: sporo ludzi, niewiele towaru. Za fiata 126p z 1981 domagano się różnie: 500 tys. zł, ale i 380 tys. Za nowego malucha ktoś spodziewał się zainkasować 1400 bonów PKO, za taką ładę — milion złotych.

● W lubelskim Klubie MPiK czynna była wystawa „Współczesny ekslibris lubelski", na której pokazano prace 13 autorów. Ponadto wydano z tej okazji bibliofilski katalog z notami biograficznymi grafików i reprodukcjami (wklejki) ekslibrisów.

● „Spotkania w Osiekach" to tytuł wystawy dokumentującej dokonania i przebieg ogólnopolskich (czasami międzynarodowych) plenerów, które odbywają się w tej podkoszalińskiej miejscowości od 1963 roku. Na otwarcie ekspozycji zaproszono niektórych uczestników spotkań w Osiekach, którzy mieli tzw. wystąpienia autorskie. Po wysłuchaniu trzech pierwszych — na kolejne nie starczyło nam cierpliwości, bo nad demagogię, powierzchowne spostrzeżenia (Janusz Bogucki), „migotanie myśli", przetrawianie faktów, egzotyczną gigantomanię (Jerzy Ludwiński) przekładamy np. zdrowy rozsądek. Rzecz odbyła się w lubelskim BWA.

Gudmund Daniélsson - znany pisarz islandzki - specjalnie dla „Kameny"

Wychowano mnie w atmosferze podziwu dla Polski

GUDMUND DANIELSSON: — Siedzę sobie wygodnie za kołem podbiegunowym, na wyspie, pośrodku oceanu, w moim Selfoss, a tu przychodzi z Lublina list do p. Wieluńskiego. Selfoss — to tylko cztery tysiące osób, 50 km na wschód od Reykjaviku. List z Lublina jest tu niemal sensacją... Okazuje się jeszcze, że w liście jest kilka pytań. „Czy nie zechciałbym na nie odpowiedzieć? Czytelnicy „Kameny" byliby za to wdzięczni". Lublin... Gdzie to właściwie jest? Aha, to daleko stąd, na południowym wschodzie. To tam, gdzie pączki róż rozchylają się już w kwietniu, gdzie Europa od niepamiętnych czasów pisała strony księgi swoich dziejów i gdzie zawsze było ognisko wydarzeń — i w czasach wędrówki ludów, i wtedy, gdy Attyla przybywał na ognistym rumaku, skądś ze Wschodu, na czele szalonych wojsk, aby wody rzek zabarwić czerwienią krwi Gotów... Mniej więcej tam, w tamtych stronach jest dzisiaj Polska...

JERZY WIELUŃSKI: — Kiedy właściwie przyszło panu do głowy napisać pierwszą książkę? Czy się panu ona jeszcze podoba?

GD: — Napisałem pierwszą książkę, nie bardzo sobie zdając z tego sprawę. Gdy tylko nauczyłem się pisać, czytać — miałem wówczas 5 czy 6 lat — natychmiast zacząłem „pochłaniać" wszystkie książki, jakie mi tylko wpadły w rękę. Jednocześnie zacząłem samodzielnie układać „wiersze", „opowiadania". Kiedy miałem 12 lat, znałem już większość starej i nowej literatury islandzkiej, a także — biblię, Homera, Tarzana... Przypominałem w owych latach jakieś niesamowite, wszystkożerne zwierzątko i czytałem wszystko: śmiecie i filozofię, literaturę z prawdziwego zdarzenia oraz dzieła grafomanów, i ustawicznie coś tylko pisałem i pisałem, jakkolwiek nigdy mi nawet nie przychodziło do głowy, żeby przygotować coś „do druku". A już najmniej myślałem o tym, żeby zostać „pisarzem". Po prostu chciałem być chłopem. Gospodarzem. Jak mój ojciec...

W szkole średniej byłem dwa lata. A potem — w pedagogicznej. Wtedy to raptem zrobiło się bardzo dużo tych moich wierszy. Jeden ze znajomych powiedział kiedyś do mnie: „Wybierzmy najlepsze i wydamy książkę". Odparłem, że to przecież kosztuje. I skąd na to wziąć pieniądze? „Nie szkodzi, nieważne, obaj mamy tyle pieniędzy, że wystarczy i na to". No to klawo. Wydaliśmy książkę. Pod tytułem: „Pozdrawiam cię". 51 wierszy, 100 stron. Był rok 1933. W gazetach zaczęto mnie wychwalać pod niebiosa... Książka „szła". Pieniądze — zwróciły się. Z nawiązką. Dzisiaj wiersze wydają mi się naiwne i słabe. Nigdy bym chyba nie pozwolił na wznowienie wydania... Niebawem zaczęły się ukazywać moje kolejne książki. Za każdym razem coś w nich zmieniałem i poprawiałem w każdym wydaniu. Nie jestem w pełni zadowolony z tego, co dotychczas zrobiłem. Wiem, że można to było zrobić jeszcze lepiej. Ale nigdy nic nam nie wychodzi idealnie...

Moja pierwsza powieść „Bracia z Grashaga" wyszła w 1935 r. Napisałem o chłopach, motywy czerpałem z mojej młodości, kiedy żyłem na wsi. Teraz tych moich książek nazbierało się około 50. Oprócz powieści napisałem też opowiadania, poezje, dzienniki podróży, eseje, przekłady z języków obcych itd. Przez 30 lat uczyłem w szkole. Zawsze było to moim zajęciem pierwszoplanowym. Niemniej jednak przez 20 lat byłem redaktorem naczelnym jednego z islandzkich tygodników. Książki pisałem i dalej piszę — jakby dla dobrego samopoczucia. Kiepsko by to było ze mną, gdybym przez rok nie napisał jednej książki...

JW: — Niektóre z pańskich powieści przełożono na język polski. Inne są właśnie przekładane. Jak się układa współpraca z polskimi wydawcami i tłumaczami?

GD: — Kilka lat temu był w Islandii pan Robert Stiller z Warszawy. Zna islandzki, współpracował z Wydawnictwem Poznańskim. Napisał do mnie list, prosząc o zgodę na przełożenie mojej powieści „Sonur minn Sinfjötli" na język polski. Powieść ta opiera się na wątkach ze starych pogańskich sag, m. in. na pieśniach Eddy, oczywiście w wersji zaktualizowanej. Akcja rozgrywa się po części u ujścia rzeki Odry. Pan Stiller powiedział, że przełoży moją powieść bezpośrednio z islandzkiego na polski. Dodam, że wcześniej ukazały się już przekłady tej właśnie powieści na język duński oraz norweski. Polski przekład ma nosić tytuł „Synu mój Sinfjötli". Wcześniej zawarto ze mną umowę odnośnie przekładu powieści „Blindingsleik". Przekład ukazał się pod polskim tytułem „PO OMACKU" *, ale dokonano tego w oparciu o tłumaczenie norweskie, nie bezpośrednio z oryginału islandzkiego, co spowodowało — według opinii osób znających zarówno polski jak islandzki — określone implikacje.

Co do „Synu mój Sinfjötli" — na razie cisza. Nie wiem, co się z tym dzieje. Zgodnie z umową, przekład ma się ukazać w 1982 r. Oczywiście, doskonale zdaję sobie sprawę z wielorakich przejściowych trudności natury ekonomicznej i politycznej, które nękają Polskę w ostatnich czasach. Nie wykluczone, że trudności te rzutują w określonym stopniu na wydawanie książek — np. jeśli w drastyczny sposób brakuje papieru lub farby drukarskiej. Wydawnictwo Poznańskie poinformowało mnie, że honorarium za przekład nie może mi być wypłacone w walucie zachodniej, a jedynie w złotówkach. Ponadto poinformowano, że przepisy prawne zabraniają wywozu złotówek za granicę. Odpowiedziałem, że jeśli chodzi o mnie, powyższe sprawy nie mają znaczenia — przy najbliższej okazji przyjadę po prostu do Polski, przejem i przepiję całe honorarium na miejscu. Pieniądze mają ponoć leżeć na specjalnym koncie w specjalnym banku w Warszawie i czekają na mnie. Przysłano mi nawet numer owego konta oraz podano adres owego banku. Mam nadzieję, że wydawcy w Polsce są ludźmi honorowymi, co by ich odróżniało od niektórych wydawców w niektórych krajach zachodnich. Świat przeżywa obecnie kryzys. Wszystko się ściska. Muszą się więc ściskać wydawcy i pisarze. I właściwie — wszyscy...

Gdyby ktoś zapytał — ten Danielsson, co to za pisarz? Odpowiem w paru słowach. Moje powieści nie mają charakteru politycznego. Nie poruszam kwestii ustrojowych. Interesuje mnie analiza osobowości człowieka. Człowiek w moich powieściach wspina się na najwyższe poziomy tego, co jeszcze może znieść, wytrwać. Analizuję jego postępowanie, obserwuję, jak się zmienia, zachowuje. Myśl przewodnią moich powieści można ująć w ten sposób: Trzymaj się, chłopie. Nie poddawaj się. Jasne, że każda walka jest zawsze przegrana i każda wojna. Zwycięstwo polega jedynie na tym, aby do ostatniej chwili pozostawać człowiekiem. I umrzeć — jeśli trzeba — stojąc z wysoko podniesioną głową. Myślę, że udało mi się wyzwolić z przesądów, jakby „oddogmatyzować" siebie samego. Wszystko mi jedno, czy ktoś jest katolikiem, czy protestantem, poganinem czy muzułmaninem, komunistą czy socjaldemokratą. Niech będzie tylko tak dobry i nie narzuca mi swoich osobistych poglądów. Nie odpowiada mi występowanie w charakterze kogoś, kto spełnia czyjąś — tam misję. Wyznaję pogląd, zgodnie z którym twierdzić, że się poznało prawdę, oznacza — ograniczać swoje własne horyzonty poznawcze. W ten sposób zawiązuje się samemu sobie pętlę na własnej szyi. Powątpiewam w istnienie prawd skończonych. Nie mieszajmy tego jednak z procesem poszukiwań prawd. Podobnie bywa z wolnością. Nie ma absolutnej wolności. Chyba że u umyśle szaleńców. Tylko szaleniec pozwala sobie na wszystko. Z drugiej strony — każdy zdrowy człowiek żądny jest wolności. Wielu przypłaca to życiem. Łańcuchy nie są dla nikogo błogosławieństwem, chyba że jest on starzejącym się niewolnikiem, który już dawno, dawno temu w ogóle zapomniał, że był niegdyś wolnym człowiekiem... O, do diabła, zacząłem już filozofować i wygłaszać kazania! Bardzo przepraszam!

Wracając do polskich tłumaczy. Niestety, nie znam polskiego. Chciałbym, żeby w Polsce przekładano moje książki, gdyby się okazało, że jest w nich coś, co zainteresuje polskich czytelników, co będzie się im podobało.

JW: — Nie wahałby się pan przyjechać teraz do Polski?

GD: — Chciałbym przyjechać i spotkać się z ludźmi, którzy pragną zacieśniać więzy przyjaźni i poszerzać związki naszych kultur, np. w zakresie literatury lub sztuki. Nie wątpię, że stan wojenny nie jest dla nikogo rzeczą przyjemną i z pewnością większość ludzi pragnie zniesienia tej sytuacji. Osobiście nie bałbym się przyjechać do Polski, jeśliby tylko kompetentne władze właściwie ostemplowały moje dokumenty — wizę i paszport. Ani nie jestem przemytnikiem, ani podżegaczem. Nigdy nie łamię obowiązujących praw, ani w Islandii, ani gdzie indziej. Nie ma więc powodów do obaw. Tyle tylko, że ostatnio trochę się rozleniwiłem i podróżuję znacznie mniej niż przedtem. W młodości podróżowałem ciągle i wszędzie, a dzisiaj — jedynie z określonych powodów.

JW: — Czy wielu Islandczyków zna język polski?

GD: — Bardzo niewiele dzieł literatury polskiej przełożono na islandzki. Niewielu Islandczyków zna język polski. Osobiście znam tylko jednego — dr Arnor Hannibalsson, wykładowca filozofii z Uniwersytetu w Reykjaviku bardzo dobrze zna język polski.

JW: — Czy może pan wymienić pisarzy polskich, których ceni pan szczególnie wysoko?

GD: — Dwóch wywarło wielki wpływ na moją twórczość. Uważam ich poniekąd za moich mistrzów (podobnie zresztą jak kilku innych pisarzy z innych krajów). A są to — Reymont i Conrad. Będąc małym chłopcem, przeczytałem duński przekład powieści Reymonta „Chłopi". Była to jedna z pierwszych przeczytanych przeze mnie powieści. Wybitne to dzieło wybitnego pisarza. Jego wpływ na mnie przejawia się w książce „Na brzegu Byczej Rzeki". Wyszła drukiem w 1940 roku i ma parę przekładów na języki obce — duński, niemiecki. Conrad wpadł mi w ręce podczas mojej ponad półrocznej podróży po Stanach Zjednoczonych i Kanadzie w 1945 r. Czytałem „Tajfun", „Zwierciadło morza". Najbardziej pozostał mi w pamięci conradowski opis Wschodu, fascynujących nastrojów wysp Dalekiego Wschodu. Conrad owija człowieka i przyrodę wspólnym, subtelnym szalem, a udaje się to niewielu pisarzom.

O Miłoszu słyszałem dopiero po tym, jak dostał Nobla. Czytałem dwa czy trzy spośród jego wierszy. To za mało, aby mieć o nim określone zdanie. Inny laureat Nagrody Nobla, Isac B. Singer, urodził się i wychował w Polsce. Do Ameryki wyjechał mając dwadzieścia lat. Jest Żydem, pisze książki w języku Jiddisz. Akcja jego powieści toczy się w Polsce. Czytałem jedną z nich — „Czarodziej z Lublina". Nie ma już owego życia, które Singer tak świetnie opisuje w swoich powieściach. Chyba, że mamy na uwadze jego powieści z życia współczesnej Ameryki, np. „Wrogowie — historia miłości". Wstyd przyznać się, że nie znam współczesnych polskich pisarzy i ich twórczości. Dodam jednak, że wychowano mnie w atmosferze szczególnego podziwu dla Polski i Polaków. Jako dziecko czytałem już wiersze z „Kraju Ludzi Pól", tak bowiem można przetłumaczyć starą islandzką nazwę Polski — Slettumannaland. Czytałem wówczas o życiu Polaków, poznałem wtedy historię Polski. Znałem na pamięć, jak wielu moich rówieśników, słowa „Roty".

Polacy i Finowie są tymi dwoma narodami, które zawsze były bardzo bliskie sercu każdego Islandczyka. W naszym przekonaniu Polacy i Finowie mają podobną mentalność, a ich patriotyzm był dla nas zawsze czymś godnym największego podziwu.

Gudmund Dánielsson

W ROZTERCE

Księże! Ciebie tym słowem nasza brać wołała.
Byłeś młody. Głos twój nas wzruszał miękki.
Twe oczy — niebieskie, i długa, czarna sutanna.
Praw nas uczyłeś mocnych, niby Ingolfa skała.
Twe dziwne potknięcie przejęło nas lękiem:
Po świętach Narodzin Pana,
w środku kazania wątek straciłeś
i wszystko wyznałeś. Świętokradztwo popełniłeś.
— Jezus to człowiek. Syn
innego człowieka i Marii. A Józef wziął krzyż
na ramiona i cześć ocalił niewieścią.
— Chrystusa nam, księże, zabierasz, i Jego Królestwo.
Chcesz nas pozbawić piekieł
zarazem. Nie łatwe to, księże, O NIE!

Z islandzkiego przełożył **Jerzy Wieluński**

P.S. Ingolf Arnarson — Norweg, wiking, założyciel Reykjaviku. Jedna z pięknych, wysokich skał nosi jego imię.

* „Po omacku" — Wydawnictwo Poznańskie, 1981. Z norweskiego przełożył Zbigniew Chudyba.

O sosnach Rapackiego

Tadeusz Chróścielewski

WISIAŁO w naszym domu kilka dawnych pasteli ojca: chłopi w sukmanach, żołnierz z Olszynki, wzorowany na Kossaku, pejzaż z mostem projektu ojca, namalowany po zakończeniu budowy.

Ojca uczył rysunku w dzieciństwie eks-powstaniec Kajetan Sergiusz-Wolski, autor litografowanych albumów wojska polskiego i herbarzy. Ten rysownik minorum gentium mieszkał w początkach osiemdziesiątych lat w Kamienicy Długosza w Krakowie, o ścianę z Wyspiańskim-seniorem. Tak samo jak tamten zalewał robaka i klepał biedę. Tam, w mieszkaniu Wolskiego, zmarł na suchoty mój dziadek powstaniec. Wolski pooddawał jego dzieci do terminów mistrzom malarsko-rzemieślniczej branży. Ojca oddał do niejakiego Michalskiego z Olkusza, snycerza i malarza dewocyjnego. Ten akurat strugał ołtarze i malował świętych w nowo wzniesionym kościele w wiosce pobliskiej, ale już po stronie Kongresówki. Ojciec był u Michalskiego za „chłopca podaj farby", ale być może miał i jakiś „twórczy" udział w złoceniu aureoli świętych czy w temu podobnych nieskomplikowanych pracach.

Ilekroć przejeżdżałem koło tej wioski, wstępuję do kościoła i wpatruję się w ołtarze, nieco inaczej niż koneserzy sztuki i inaczej niż miejscowi wierni... Potem... po latach, kiedy ojciec kończył Wawelberga i zaprzyjaźnił się na całe życie ze studentem z tego samego roku Lucjanem Ceglińskim, synem bardzo głośnego w drugiej połowie XIX wieku malarza, Juliana Ceglińskiego, twórca „Refektarza dominikanów" w życzliwej sympatii dla pracowitego studenta o ciężkim dzieciństwie udzielał mu w czasie wakacji u nich na wsi lekcji rysunków i malarstwa. Za moich czasów ojciec już nie malował, a i przedtem traktował „swoje malowania próby" tylko jako rozrywkę po ślęczeniu nad projektami mostów.

Szkice ojca i kilka obrazów, przeważnie pejzaży realistów starszych szkół, tworzyły w naszym saloniku i stołowym jakby maciupcią galerię.

Ojciec najbardziej lubił akwarele pana Ceglińskiego. Były u nas dwie. Przedstawiały, w konwencji szkół Kokulara i Breslauera: jedna — bramę zamkową w Ojcowie w okolu brzózek, druga — fragment mińskiego parku Dernałowiczów z pałacem. Wyborny rysownik oddał niemal kształt każdego listka, świetnie też utrafił w koloryt miękkiej zieleni, ściszonej delikatną mgiełką powietrza i oddalenia. Jednakże brak słońca, jego refleksów i w ogóle tego, co światło o różnorakim natężeniu uruchamia w świecie barw, sprawiały, że na obu pejzażach panował senny, powiedziałbym nawet kosmiczny zastój. Tak musiał wyglądać świat, kiedy Jozue unieruchomił słońce. Tak też musiała, mimo biegunowych różnic sytuacji i rekwizytów, wyglądać Arkadia. Istotą arkadyjskości jest wszak zatrzymanie czasu, a zatem uwolnienie owych pasterskich szczęśliwców od lęku, w jaki nieuchronnie wprawia każdą rozumną istotę fakt, że ponad i poza nami działają niepowstrzymane mechanizmy pór roku i sypiącej swe ziarenka piasku klepsydry.

Ojciec w czasie swych niedzielnych poobiednich „spacerów" po „galerii" właśnie przed nimi zatrzymywał się najdłużej. Rozbierał je uważnie oczyma na coraz to drobniejsze elementy i coś tęsknego pogwizdywał. Czasem zwracał się do nas:

— Patrzcie, jak wtedy malowali. Nie jak dzisiejsze błazny, co „wyzwalają myśli spod tyranii sensu".

Rzecz dziwna, przed pejzażem Rapackiego przedstawiającym sosny — temat raczej nietypowy dla tego później trochę wykpionego piewcy „naszej poczciwej brzeziny" — ojciec zatrzymywał się rzadziej i krócej. Kilka razy zauważyłem na twarzy ojca, gdy patrzył na ten obraz, jakiś przelotny grymas, jakby mu coś się w nim nie podobało. A przecież Rapacki, choć uczeń Gersona i monachijczyków, przyswoił sobie w późniejszej twórczości również i niektóre zdobycze impresjonistów i z natury rzeczy dysponował warsztatem bogatszym od mistrzów poprzednich generacji. W pejzażach Rapackiego istniała już i pora dnia, i w ogóle czas. A w tych naszych „Sosnach" bodaj nawet coś więcej. Nieduży obraz, w ciemnych gładkich ramkach, przedstawiał szczątek sosnowego lasu. Widać, że rósł tu przedtem las dorodny i zdrowy, lecz został, jak się dziś mówi, zdewastowany. Może przez nieumiejętny wyrąb, może przez siekiery złodziei, jak to się często zdarza w pobliżu miast. Zostało zaledwie kilka drzew, rozrzuconych na luźnej przestrzeni, o rzadkich, obsmyczonych gałęziach. Tym smutniejszych, że uchwyconych przez artystę w porze zmierzchu, kiedy ruda łuna na zachodzie nie ma już swej przedwieczornej siły świetlnej i jedynie dordzewia pnie i rdzawi gałęzie. Rdza, w sensie dosłownym śmiertelna choroba metalu, w takim jak ten przypadku jest próchnem światła. Rapacki naczelną dramatis personam obrazu uczynił właśnie zmierzch. I nie tyle może zmierzch jako porę dnia, co jako dramat przemijania.

Odkąd sięgam pamięcią, obraz Rapackiego nadzwyczajnie mi się podobał, chociaż był smutny, zaś dziecko smutek i piękno odbiera zazwyczaj jako doznania wykluczające się. Musiałem być dzieckiem co nieco dziwacznym. Do tego stopnia obraz mi się podobał, że spytałem ojca, skąd się u nas wziął, jakkolwiek dziecko skłonne jest nadawać wszystkim przedmiotom zastanym w domu ten sam co rodzicom, gwiazdom czy zachodom słońca — status transcendentalny. Udzielił mi suchej, choć rzeczowej informacji, na podstawie której wyobraziłem sobie wtedy i nadal wyobrażam, choć już nieco mniej infantylniej taką oto scenkę rodzajową:

— Oo, moje uszanowanie szanownemu mistrzowi! Co to mistrz zdradza, jak widzę, swoje ukochane Mrozy (Zaraz. Gdzie oni się mogli poznać? Na wsi u bardzo już starego Ceglińskiego, do którego malarze młodszej generacji, rzadko już, ale czasem pewnie jeszcze zajeżdżali? Może u doktorostwa Hubertów, wtedy mieszkających w Kałuszynie. Od Kałuszyna do Mrozów, w których od 1904 roku mieszkali i wściekle malowali Rapacki z Masłowskim, jest wszystkiego cztery kilometry?) i szuka dziewiczych terenów dla swych natchnień aż w naszej podmiejskiej wsi Goździk?

— Nie dziewicze to tereny, inżynierku dobrodzieju, nie dziewicze! Boć to i Cegliński, i Andriolli polowali tu na pejzażyki. A i ten nieszczęsny nieborak Władek Podkowiński. A teraz Masłosio powiada: „Rypaj, kolega, pod Nowo-Mińsk! Dość mazania brzózek za Pierwszym Zdrojem. Lepszych mokradełek, wrzosków, piaszczków z sosneczkami w całym obwodzie nie znajdziesz". Nie ma już teraz dziewiczych terenów. Na każdym arszynku trawki maljarz na maljarzu siedzi i maljarzem pogania. Wszędzie bo konkurencja! Sztuka krajowa kwitnie, nie można powiedzieć, ale żeby tak jeszcze interes do niej społeczności równie kwitł! Rublokarmannych ze świecą dziś na wystawach nie znajdziesz. A i coraz trudniej o takiego głupiego Żyda, coby w pacht zechciał wziąć!

Jakoś tak mogła się zacząć ta rozmowa: Rapacki podobno pasjami lubił narzekać, choć należał do malarzy pokupnych:

— Dobrze byłoby, żeby nie tylko sztuka, lecz i gimnastyka krajowa kwitła (mógł teraz ojciec wtrącić swoje trzy grosze, jako zwolennik sportu, nie przepuszczający żadnej do propagowania okazji). W zdrowym ciele zdrowy duch i jeżeli będziemy się lepiej gimnastykowali niż zaborcy, to... Gdyby mistrz trochę sobie rankiem hantlami powywijał, toby potem mistrz machał pędzlem rześko, jak sam Matejko. Czy mogę rzucić okiem na nowe dzieło? Fiu, fiu! Cudo nie sosny, a broń Boże w oko (niepojęte dla nas powiedzisko ojca wyrażające podziw). Chyba nikt dziś tak nie od-

KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ●

Słowo niemuzyczne

MIECZYSŁAW Jastrun przytacza pewną rozmowę, którą odbył z Leśmianem w roku 1937, a w trakcie której Leśmian niespodziewanie rzucił: „A to wystrzelenie rytmiczne podoba się panu? Co?

... strzałopióry
Orzeł śnił mi się!"

Przy całej atencji dla autora „Łąki" można mieć zastrzeżenie co do sugestywności przytoczonego zwrotu, całkiem sobie przecież poczciwego, nie ulega jednak wątpliwości, że słowa poetcykiego nie oceniano w kategoriach logicznych, intelektualnych, znaczeniowych, jeśli miały być one narzędziem uchwycenia zjawiska poetyckiego. Nie znaczy to, że poezję uważano za pozalogiczną, ale istnieje różnica między logiką równania, a logiką wiersza. Chyba Przybosia z powodu „Równania serca" zbyt dosłownie potraktowanego przez przybosioidów oskarżać o zatrzymanie ruchu wyobraźni i ekspresji poetyckiej tym przekonaniem, że uda się jakąś inżyniersko-matematyczną kalkulacją słowną dać całkowicie adekwatny odpowiednik doznania, jeśli nie dopomoże temu poruszona siłą autorskiej ekspresji wyobraźnia odbiorcy.

Ale tak zostało. I ponieważ autentycznej poezji prolongować nie można, można tylko — jeśli są po temu dane — stworzyć poezję inną, czasem również autentyczną. Ten typ poezji, jaki mamy praktykowany współcześnie, niekiedy nazywany postawangardowym, opiera się na rygorach prozy. Nie ma tam leśmianowskich „wystrzeleń rytmicznych", jest konwencja sentencji, aforyzmu, stwierdzenia, a więc — niezależnie od stopnia osiągnięcia — prozy. Już w tym określeniu (jak łatwo przyjmuje się wszelka stylistyczna manie-ra!) „komunikat liryczny" tkwi autodemaskacja: bo oznacza ono, że poeci „informują", „trafiają", a nie narzucają swego widzenia prawdą przeżycia. Czy zauważył kto jak statyczne są wizje Przybosia, nawet te, które dotyczą ruchu?

Dlatego dyskutować z wierszami Wacława Oszajcy, zawartymi w jego ostatnim tomie „Z głębi cienia", jest trudno. Trudno, bo zawsze to będzie wyglądało na sprzeciw, na atak, na niedoczytanie się wreszcie do znaczenia rzeczywiście niekiedy uderzających przemyśleniami stwierdzeń, podczas gdy następuje tu rozbieżność przedmiotów dyskusji, a nawet samych jej terminologii. Tekst Oszajcy nie ma nastawienia na tę perspektywę słowa, która wynika z jego pozaintelektualnej pulsacji, cały jest nacelowany na skończoną adekwatność. A przecież siłą poezji jest jej słabość, jej widzenie niemożności pełnego osiągnięcia. Za dużo zamierzyć i w ten sposób znaleźć się bezradną wobec bezmiaru, którego przedstawicielem może być najmniejszy listek — oto założenie poezji tak często, bo programowo negliżowane przez praktykowany wzorzec dzisiejszy. Pewnie, że należało by więc tu mówić nie o samym Oszajcy, którego prawość moralno-artystyczna musi przekonywać, wypada się zastanowić, czy w ogóle dla preferowanego tu wzorca poezji nie skończyła się wraz z przeobrażeniami cywilizacyjnymi sama uczuciowo-społeczna rzeczywistość, ale w końcu temat jest. I dziwne, że tak uparcie przemilczany przez krytykę.

Nie jest lojalne „czepiać się" samej wymowy zwrotów, ale chyba nie od rzeczy będzie posłużyć się tu pewnymi skojrzeniami wynikającymi z tytułu zbioru. Sugeruje on, że zbiór zawiera treści wyniesione z cienia, a więc rozjaśnione, co dla zwolennika poezji emocjonalnej, „pozaświadomej", powiedzmy nawet: metafizycznej jest przykre. Wypada tu przypomnieć pewne wyznanie Czechowicza, który na ankietę „Okolicy poetów" zatytułowaną „Jak powstaje wiersz?" odpowiedział: „Piszę w muzycznym przyćmieniu świadomości". Nie tylko przyćmienie, ale przyćmienie muzyczne. Czyli z dala od konwencji słowa określonej jego semantyką: ma być osmoza słów na podobieństwo osmozy tonów. Tego u Oszajcy nie ma. Dlatego może dziwić sformułowanie Jana Bolesława Ożoga zawarte w jego recenzji („Życie Literackie" nr. 11), który aprobując stawkę na wymierność w poetyce „Z głębi cienia" nieoczekiwanie stwierdza: „Wiersze Oszajcy poruszać mogą nieświadomość jego odbiorców i w tym leży tajemnica jego oddziaływania". Ale Ożóg i tak postępuje coś nazbyt bezceremonialnie. Na tej podstawie, że Oszajca jest księdzem, jednym zamachem zestawia go z Janem Twardowskim, a nawet Karolem Wojtyłą. Dziwne, że zatrzymał się przed Piotrem Skargą, Ignacym Krasickim i świętym Janem, autorem „Apokalipsy".

Zygmunt Mikulski

Wacław Oszajca: „Z głębi cienia". Wydawnictwo Lubelskie, 1981, str. 87, cena 10 zł.

I nie wiem kto był bliższy prawdy

UKAZAŁY się na półkach księgarskich wiersze Edy Ostrowskiej. Jest to debiutancka książeczka tej autorki, warta uwagi czytelnika. Wiersze pisała bardzo młoda dziewczyna; są inne niż tzw. poezja kobieca, do której jesteśmy przyzwyczajeni. Już na samym początku bulwersują i — wydawałoby się — denerwują, a o to chyba autorce chodzi. Dziewczyna buntuje się przeciwko schematom, tradycjom, wyrażając w ten sposób swój stosunek do otoczenia — i to jej prawo. Wiersze — zaskakujące treścią i formą — są rozwichrzone i na pozór nielogiczne, zbudowane z wyrazów — symboli, z kontrastowych zdań, sformułowanych na zasadzie antytezy. Pełno w nim określeń obscenicznych, a

daje urody drzew krajowych jak pan. Może Wyczółkowski, ale mało znam jego rzeczy. Tylko coś smutne te mistrza sosny! Piękne, ale smutne. W naturze nie są aż tak smutne. Jakby się czego bały i skarżyły.

— A ot, właśnie! Inżynier w sednuszko utrafił. One się boją o przyszłość swoją i innych drzewin. A skarżą się — na kogóż, jak nie na ludzi! Inżynier wiesz niezawodnie, że, dla przykładu to mówię, z naszej sławnej Olszynki Grochowskiej już i śladu nie zostało. Parcele, domy i wszędzie te smrodliwe fabryki. W Ameryce do rzek fetorki spuszczają i gdzie sawanny nieprzebyte rosły, dzisiejszymi wieżami Babel niebo tam zatykają i kainowymi ofiarami z fabryk chmurzą. Zobaczy inżynier: ludzie naturę, piękno i dobroć zniszczą. Na ostatek siebie.

— Może w Ameryce. U nas jeszcze fabryk grubo za mało. Tym bardziej nas przez to właśnie wrogowie łupią. Co zaś naszych drzew tyczy, to one czego innego mogą się lękać. Wraz z ludami Europy. Choć z drugiej strony nasza Sprawa winna na tym zyskać. Znowu przecież w „kotle bałkańskim" wre. A tym tutaj drzewom niech mistrz powie, żeby się tak bardzo nie lękały o swój los — uśmiechnął się (uśmiechu nie widzę: dziwna rzecz, nie zapamiętałem uśmiechu ojca, mimo jego jowialnego sposobu mówienia i przypływu również dobrego humoru). — Trzeba panu wiedzieć, że właśnie przed tygodniem kupiłem te pół morgi z sosnami. Chcę tu postawić chałupinę. Tyle że nie tak od razu, bo „z powodu braku w kasie postawienie odkłada się". (Ojciec obsesyjnie używał szeregu superwłasnych powiedzisk, które pierwotnie były zrozumiałymi dla wąskiego grona cytatami z czegoś, co ojca i owo grono rośmieszyło, potem jednak jako niepojęty zwrot udziwaczniało jego język kolokwialny. Aforyzm ten — w prawidłowej wersji „przedstawienie odkłada się", zaczął swój żywot jako prześmiewny cytat z konferansjerki, którą zaprodukowała kiedyś w naszym mieście podczas chałturowego koncertu rzekoma „siła warszawska"). Ale postawię nie za blisko drzew, żeby korzeni nie urazić. Te sosny, które mistrz unieśmiertelnił, będą kiedyś szumiały mojej starości.

Zapewne chwila zdziwienia, sumitacji, życzenia szczęśliwych osiedlin, po czym konwencje niegdysiejszej grzeczności skłaniają artystę do ofiarowania ojcu obrazka. W myśl zaimprowizowanej maksymy: cuius regio, eius imago. Te same prawidłowości każą uradowanemu ojcu wzdragać się i prosić o grzeczność zgody na iszczenie honorarium. Być może pada jeszcze jedno powiedzonko ojca: „oburzony na te sługi wydobywam lares-pugi".

Sprawa zapewne uległa rozwiązaniu po myśli Rapackiego i pejzaż zawisł w naszym domu na poczesnym miejscu, obok autoportretu Malczewskiego z Ojczyzną zakutą w kajdany. Zawisł oprawiony i oszklony, bo był pastelem. Niestety, za moich czasów przedstawiał drzewa dawno już nie istniejące. „Kocioł" w dole Europy wybuchł. Nim Sprawa Nasza cudownie zyskała, na miasteczko rzucał granaty Ceppelin, a te inne drzewa zrąbały salwy armatnie nacierających na siebie obcych wojsk. Z powodu wieloletnich po wojnie „braków w kasie" na „naszym polu", jak ojciec nazywał działkę, pobudowaliśmy się i przenieśli dopiero w trzydzieści lat po tamtej scenie.

Dziś domyślam się, przypominając sobie niedzielne spacery ojca po „galerii": tajemnica niedostatecznej zażyłości ojca z pejzażem Rapackiego tkwiła w tym, że widok tamtych sosen mógł być dla niego po prostu przykry. Zdawał się kłuć przypomnieniem, iż nie zdołał spełnić danej wtedy obietnicy: „niech mistrz powie tym tutaj drzewom..." Jak wytłumaczyć sobie inaczej fakt irracjonalnej, z gospodarskiego punktu widzenia, decyzji obsadzenia chyba połowy gruntu gąszczem nieużytecznych iglastych i liściastych drzewek?

Dla mnie zaś właśnie przeciwnie — i też dopiero dziś sobie to w pełni uświadamiam — pejzaż ów, odkąd poznałem jego historię, stał się jakby kamieniem węgielnym domu. Takim jak te, w które wmurowuje się na szczęście srebrną monetę, poświęca bądź oblewa, też na szczęście w inny sposób. Kamieniem, a także jakby talizmanem czy swoistą odmianą głowni Altei? Że niby obraz wisi to ... Naturalnie, owo odczucie tkwiło tylko w podświadomości. Musiało tkwić. Bo jak wytłumaczyć sobie inaczej moją wprost nienormalną rozpacz w czasie kiedy nie myślało się o takich przedwojennych „ozdóbkach", i determinację, z jaką narażałem się owej nocy. Bądź co bądź na najgorsze?

Bomba, co spadła przed naszym domem 8 września, była bombką maleńką. Zaledwie zniosła taras i połowę frontu od strony ojca gabinetu. Wpadłem do czegoś, co przed chwilą było salonem. W warstwie szklanego miału i szczątków mebli leżały — obrazy. Nie zdając sobie sprawy z absurdalności tego, co robię, podniosłem z podłogi „Sosny" Rapackiego i z powrotem powiesiłem na ścianie. Potem wyszedłem wraz ze wszystkimi „na wędrówkę"... Kiedy po miesiącu znaleźliśmy się wszyscy razem i nastąpiła krótka, głodna, niewolnicza stabilizacja przed pierwszymi, większymi łapankami, a pod żelazną kozą z rurą przez szerokość pokoju, być może, umocniwszy się któregoś dnia w przekonaniu, że lada tydzień za zabitym oknem ukaże się Sikorski w całej swej i wojsk naszych chwale — postanowiłem doprowadzić dom do ładu.

Jak mimochodem wspomniałem, obrazy w tym czasie, podobnie jak książki, straciły wszelką materialną wartość. Niemniej jedną z pierwszych moich czynności było zdjęcie ze ściany pastelu Rapackiego. Przyjrzawszy mu się stwierdziłem, że wskutek braku szkła trochę wypełzł. Wytaszczyłem z komórki rower, ulokowałem obraz na bagażniku, tak teraz nieodzownym do przywózek torfu czy ziemniaków, i pojechałem do szklarza. Szkło było wtedy jednym z najbardziej poszukiwanych i najtrudniej dostępnych w handlu towarów. Ale od czego znajomość ze szklarzem i tamte kilka odłożonych na czarną godzinę własnych „papierków"! Wyjechałem w największej tajemnicy, bo to miała być niespodzianka, poza tym bałem się opozycji do owych „czarnowidów-dusigroszów". Bardzo szybko wtedy zapadał zmrok, więc pojechałem o zmroku. Dawno nie waselinowany rower, z połamanymi kulkami, szedł ciężko, scentrowane koła zachwiewały nim na boki i brzęczał nie przywykły do tak lekkich ładunków bagażnik.

Odszukałem szklarza. Zgodził się, choć nie był zachwycony pomysłem i miał złe zdanie o mojej „praktyczności". Ostatecznie nie jego sprawa. Pochyliłem się nad bagażnikiem, by rozsupłać sznurki przymocuwujące obraz... Sznurki były, obraz nie! Spadł po drodze.

Pędziłem co rower wyskoczy po wszystkich ulicach, którymi uprzednio jechałem. Potem jeszcze raz wolniej i jeszcze raz — bardzo wolno, i jeszcze i jeszcze raz... Jeździłem tam i z powrotem, połykając łzy. Ciemno było jak w piekle. Potem jeszcze ciemniej. Przyświeciwszy zapałką spojrzałem na zegarek... właśnie mijała godzina policyjna. Potem dawno minęła, ale przecież nie zwracałem na takie głupstwa uwagi, chociaż wczoraj kogoś rozstrzelali za lekceważnie wojennych zarządzeń. I dwa dni temu też. — Stać! — zatrzymał mnie granatowy patrol. — Co robię? Szukam obrazu. Spadł mi gdzieś tu z bagażnika. — Halt! — zatrzymali mnie „czarni", może nawet „kogutki" — Was mach ich?! Ich suche mein verlorenes Bild. — Waas? — Rapatzkisbild. „Die Kiefer". Rzecz doprawdy niepojęta, bo nie zatrzymali, nie zażądali nawet przepustki. Równie chyba nie pojęta, jak podniesienie przez kogoś obrazu z bruku, połaszczenie się na coś, co w początkach okupacji nie miało jakiejkolwiek wartości. Rzecz najbardziej niepojęta, że — ubawieni, czy czujący jakąś wyjątkową słabość do sytuacji nadrealistycznych — zbrojni stróże „nowego ładu" nawet sami się fatygowali i pomagali szukać. Ale co z tego. Zginął, przepadł.

Przez kilka miesięcy ukrywałem stratę przed rodzicami, mocując się ze swym bólem samotnie. Przyjęli ją z całkowitą obojętnością.

Kiedy front nadszedł z drugiej strony, zginął, przepadł w czasie walk nasz dom. Dziwna rzecz, ale zdawałem się spodziewać tego epilogu od dawna. Tegoż dnia i dni następnych również zginęły, przepadły resztki lasów dookoła naszego miasta. Tyle, że nie z przyczyn przepowiedzianych przez Rapackiego. I dookoła śmierdziało nie od fetorów fabrycznych, lecz od świeżej spalenizny.

Wokół zgliszcz naszego domu w opuszczonym przez większość nas miasteczku, za miejscem, które znowu zaczęliśmy nazywać „naszym polem", rozrosły się w trudny do przebycia gąszcz posadzone ongiś przez ojca leśne drzewa — spóźnione wyrównanie strat zadanych zieleni podczas pierwszej wojny.

KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ●

wszystko po to, aby ulec złudnemu przeświadczeniu, że wystarczy zburzyć dotychczasowe schematy, by zarysowała się możliwość ocalenia, pozostania sobą, inną niż anonimowy tłum. Ta pozorna nielogiczność wielu wierszy, które są osobnymi wizjami, osobnymi obrazami, podkreśla tym więcej wyobcowanie autorki. Nie brakuje w tych wierszach jednocześnie elementu ironicznego dystansu, co sprawia, że tekst poetycki pełni zarazem funkcje polemiczne, jest rodzajem krytyki artystycznej:

pytasz pan
czym szczęśliwa
ale dlaczegóż o to pytasz
pewnie
Ci ust przybywa albo pijany krzew zakwita

(str. 54)

Tak jak wszyscy, i ona szuka swoich oryginalnych określeń na nazwanie rzeczy już nazwanych, na miłość, na śmierć, na bohaterstwo, na codzienność szarego dnia:

a tu tylko motyka ziemia i kołka
a tu tylko motyka i ziemia
myślą wielka frajda
i
krzyczą życie
a tu tylko dom ogródek i kwiaty w ogródku

(str. 16)

Wiersze są luźnymi impresjami pokazującymi świat poetycki, w którym nastąpił gwałtowny rozpad dotychczasowych spójnych całości na niezorganizowane elementy. Eksponuje poetka emocjonalne wartości pojedyńczego słowa w wierszu, ale jednocześnie tworzy z nich naturalną całość.

Eda Ostrowska chce zaskoczyć nie tylko treścią swoich poezji z „Neurastenii", ale także ich formą. Można odnaleźć tam znaczne bogactwo różnych sposobów kształtowania wiersza i wszystkie one zmierzają bądź do rozbicia form dotychczasowych, bądź do pokazania form innych — spotykamy tam kompozycje wielopłaszczyznowe. Celowy efekt takich rekonstrukcji daje czytelnikowi nowy, zdynamizowany wewnętrznie obraz świata, proponujący jednostkowe konfiguracje różnych elementów rzeczywistości. Dlatego też w utworach tej autorki można dopatrzyć się wielu wspólnych cech chociażby z formizmem Tytusa Czyżewskiego.

Oprócz wierszy, w tym tomiku jest zbiór listów dedykowanych Zdzisiowi, pisanych od marca do września. Listy to są swoistym wyznaniem miłości bardzo młodej dziewczyny do wyidealizowanego w marzeniach nocnych chłopaka:

Zdzisiu. Kocham cię, ale miłość ta doprowadza mnie do upadku. Może to prawda, że jestem kurwą, nie wiem, nie wiem. Tak bardzo mi smutno, Boże, gdybyś mógł przyjechać, najmilszy...

Twoja
niemądra Eda

Są tam nie tylko słowa o miłości, ale pesymistyczna zaduma nad filozofią życia, która niezbyt często pomaga rozwiązywać problemy naszej egzystencji, a już na pewno nie tak, jakby chciała poetka. Czeka Eda Ostrowska na tego jedynego wymarzonego, ale nie tylko po to, by okazywał jej wielką miłość; ot, dla samej potrzeby bycia z kimś bliskim, z kim mogłaby rozwiązywać zagadki naszej egzystencji, odpowiadać na pytania natury etycznej, lub iść szosą, „bo prowadzi daleko poza siebie". Jest w tych wyznaniach dużo młodzieńczej fantazji, sztubackiej odwagi, przekory, ale też sporo świeżej wrażliwości, która nie pozwala poddawać się szarzyźnie i nijakości dnia codziennego. I to dobrze, że autorka dała próbkę poezji trochę innej, poezji, która zaskakuje w wielu momentach, denerwuje nielogicznością, ironizuje. Poetka robi to jednak celowo, aby oderwać czytelnika od rodzinnego „sztafażu" skonwencjonalizowanych schematów życiowych.

Poezja to jeszcze w części zbyt ogólnikowa, w części zaś przegadana nazbyt, w części gubiąca istotę mądrze rozwijanej myśli — ale talent poetycki Eda Ostrowska posiada, aczkolwiek swoim pisaniem — zdaje się — bardziej bulwersowała niż uspokajała nasze serca i umysły.

Bo nasze życie z perspektywy można zamknąć
w dłoni jak kwiat
i dramaty w naszych źrenicach zawężają się do
migawkowych scen
Skoro wszyscy posiadamy dar poetyckiego słowa
jesteśmy aktorami
i odgrywamy swoje życie z patosem

(str. 13)

Anna Koziołkiewicz

Eda Ostrowska: Ludzie, symbole i chore kwiaty. Wydawnictwo Lubelskie, 1981

Henryk Makarski

LIST DO...

Łacno cieszyć chorego,
gdyśmy zdrowi sami
(Jan Kochanowski)

tak gorliwie ogłaszasz że stoję na głowie
a może to złudzenie — może to nieprawda
stoję prosto — jak człowiek na progu
wszechświata
taki sobie — zwyczajny — dotykalny —
człowiek
dbający o pozory — dbający o zdrowie
nogami o brzeg próżni kosmicznej oparty
gorący melon Ziemi podpieram rękami
by nie spadł z mojej głowy i snów nie
roztrzaskał
moich snów — w mojej głowie wyhodowanych
na moją odpowiedzialność

o — jakże łatwo — jakże to łatwo
ogłaszać alarm
kiedyśmy już ukryci
pochowani

Wiersz nagrodzony w konkursie jednego wiersza Warszawskiej Jesieni Poezji 1982

TOAST

A nam wina przynoście,
z wina dobra myśl rośnie
(Jan Kochanowski)

no cóż — dewaluacja — pojęć — słów —
czynów
miłość z łóżkiem a z brudną bramą tanie wino
kojarzyć każą — stygnie słońce i zmienia się
klimat
moralny — lecz wrażliwość jeszcze nas uwiera
bólem głowy — krwi skurczem na gestów
zakrętach
skrytym wstydem — pragnieniem —
pragnieniem — pragnieniem

ech — co było to było — nalejcie tokaju
który umysł rozjaśnia i gorączkę studzi
pogadajmy — bracia — pogadajmy
jak ludzie

28 listopada zapadł wyrok na Zamojszczyznę

Dokończenie ze str. 1

kowie na dorocznym zebraniu NSDAP, wołał z partyjnej trybuny: „Stanowimy tu w Generalnej Guberni pierwszy stopień gigantycznych schodów, po których Rzesza Niemiecka będzie wstępowała coraz wyżej dzięki śmiałemu, doniosłemu, historycznemu w skali światowej czynowi Adolfa Hitlera. Tak więc z naszej krakowskiej strażnicy czuwamy nad tym, aby na tym obszarze Niemców jednoczył duch narodowego socjalizmu i idea tego ruchu. [...] Nie potrzeba nam tu salonowych dancerów ani papierowych atletów. Potrzebni nam są tutaj owi wychowani w duchu narodowego socjalizmu Niemcy i Niemki, zdający sobie sprawę, że są pierwszymi pionierami Rzeszy, której przeznaczeniem jest istnieć przez całe tysiąclecia. [...] Trzeba nam tutaj mężczyzn i kobiet, którzy wiedzą, że za nimi pójdą całe Niemcy. Tak brzmi twarda mowa naszego obszaru".

Istotnie, mowa była twarda, a wprowadzenie słów w czyny — po stokroć bardziej twarde. Przytoczmy tylko we fragmencie jeden z licznych zachowanych dokumentów niemieckich związanych z akcją wysiedleńczą na Zamojszczyźnie. Jest to depesza Departamentu IV (Gestapo) Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy do dowódcy Sicherheitspolizei i SD w Generalnej Guberni, datowana na 29 grudnia 1942 r.:

„Księży polskich, ujętych podczas ewakuacji Polaków w dystrykcie lubelskim (Zamość) należy w każdym wypadku aresztować i przekazać do obozu koncentracyjnego. W każdym poszczególnym przypadku należy zwrócić się do Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, Ref. IV B 4, z wnioskiem o nakaz aresztowania. Umieszczenie księży polskich w tzw. „Rentendörfer" uważam z powodów przedstawionych przez tamtejszy urząd za niewskazane. Proszę zawiadomić mnie, jaka ilość księży zostanie przypuszczalnie ujęta".

Na skutek zdecydowanego oporu ludności oraz licznych akcji miejscowego Ruchu Oporu przeciw Niemcom, musieli oni akcję wysiedleńczą przerwać.

Ludzie nie zapomnieli do dzisiaj tamtego piekła. Owczesne „dzieci Zamojszczyzny" mają już własne dzieci, a nierzadko i wnuki, lecz okupacja przychodzi wciąż do nich jako senny koszmar. „Kiedy śnią mi się Niemcy, stawiam swym krzykiem wszystkich na nogi — zwierza się w swych wspomnieniach pięćdziesięcioletnia dzisiaj kobieta. — Już tyle lat minęło od tamtych dni, a oni przychodzą w dalszym ciągu i przerażają mnie".

• • •

Jak bardzo żywe są wspomnienia lat okupacji wśród mieszkańców Zamojszczyzny, wykazało pokłosie konkursu ogłoszonego przez redakcję „Tygodnika Zamojskiego" i Państwowe Wydawnictwo „Iskry" pod hasłem: „Kiedy przyszli podpalić dom". Na konkurs nadesłano aż 141 prac. Kilka tygodni temu odbyło się posiedzenie jury pod przewodnictwem dyrektora Instytutu Historii UMCS prof. dr. hab. Zygmunta Mańkowskiego — przyznano nagrody i wyróżnienia za najlepsze prace.

Konkurs stał się jakby pierwszym etapem obchodów 40 rocznicy hitlerowskiej akcji wysiedleńczej na Zamojszczyźnie. Szereg wspomnień zostanie opublikowanych na łamach „Tygodnika Zamojskiego", a wszystkie — pomieszczą się najprawdopodobniej w zbiorze wydanym przez „Iskry". Warto tutaj odnotować fragment wypowiedzi red. naczelnego „Tygodnika Zamojskiego", Zdzisława Kazimierczuka zamieszczonej w tym piśmie z okazji rozstrzygnięcia konkursu: „W gruncie rzeczy sądziłem, że wojna już się zatarła w ludzkiej pamięci, a cierpienia przez nią spowodowane — wyblakły, straciły intensywność. Tymczasem w pracach nadesłanych do nas z całego kraju, napisanych bez patosu, zwyczajnym, prostym językiem, jawi się szeroka, wyrazista panorama umęczonej Zamojszczyzny z okresu II wojny światowej. Piszą ludzie dorośli, ale wojna jest tu widziana głównie oczami dzieci — autorzy mieli wówczas 7—12 lat — co daje zupełnie inne spojrzenie na opisywane wydarzenia. Te wspomnienia są wzruszającym, szczerym i niezwykle dramatycznym protestem przeciw wojnie".

Poniżej zamieszczamy (z niewielkimi skrótami) dwa konkursowe wspomnienia: Władysława Komana z Kniejówki w woj. bialskopodlaskim oraz Lucyny Zalewskiej-Romanowicz z Kraśnika, dziękując jednocześnie kolegom z „Tygodnika Zamojskiego" za udostępnienie materiałów.

(M.D.)

Kiedy przyszli podpalić dom...

Władysław Koman

DO Ruchu Oporu w szeregach ZWZ-AK należałem już od listopada 1939 roku jako żołnierz plutonu józefowskiego wchodzącego w skład placówki ZWZ-AK Józefów koło Biłgoraja. Posiadałem pseudonim Wołodia i brałem udział w organizowaniu Ruchu Oporu we wsi Pardysówka Duża. [...] Do pierwszej akcji bojowej, w jakiej brałem udział, należało zniszczenie mostu kolejowego między Suścem a Maziłami i zdemolowanie stacji kolejowej i zniszczenie wieży ciśnień w Suścu w dniu 6 stycznia 1943 r. Następne walki, które utkwiły mi w pamięci, to rejon Józefowa i Krasnobrodu 4-8 lutego 1943 r. [...]

W ciepłą i słoneczną niedzielę 28 marca 1943 r. zwróciłem się do komendanta placówki z prośbą o dwa dni urlopu celem odwiedzenia rodziny. Urlop otrzymałem i udałem się do domu w Pardysówce Dużej, gdzie w tym czasie mieszkała moja rodzina.

W poniedziałek 29 marca nad ranem moja matka zbudziła mnie i brata Jana, oświadczając nam, że Niemcy okrążyli całą wieś. Na domiar złego w niedzielę kupiłem rkm. — za zegarek ręczny i kilkaset złotych — i ukryłem go pod podłogą w spiżarni.

Po wyjściu z domu na podwórze obserwowaliśmy z bratem przez lornetkę Niemców, którzy leżeli na ziemi w odległości około 800 m od wsi, co jakieś dziesięć metrów jeden od drugiego. Dzień był pogodny i widoczność dobra. Pobudziliśmy najbliższych sąsiadów i powiadomiliśmy ich o tym, w jakiej znajdujemy się sytuacji. W kilkanaście minut cała wieś gorączkowo pakowała w tobołki odzież i żywność, chowając je do piwnic i uprzednio przygotowanych schowków.

Tymczasem Niemcy w podskokach zbliżają się do wsi gotowi do walki z domniemanymi ukrytymi we wsi partyzantami, których tam nie było. W odległości kilkudziesięciu metrów od zabudowań podnoszą się z ziemi i stoją w bezruchu, czekając, aż inna grupa, posuwająca się od południowo-zachodniej strony wsi, spędzi całą ludność na plac. Do wsi wjeżdżają samochody i teraz zaczyna się rabunek; zabierają świnie, część bydła, a w zabudowaniach plądrują, zabierając mniej lub więcej wartościowe rzeczy, i wywożą.

Brat mój Jan, sąsiad Kusiak Jan syn Jana i ja ukrywamy się w schowku u sąsiada. Wybudowany był on pod piecem kuchennym, a wchodziło się do niego po podniesieniu „klapy" obitej blachą przed drzwiczkami paleniska, co całkowicie maskowało wejście do schowka.

Ludność z placu popędzono do Józefowa po uprzednim wybraniu najładniejszych dziewcząt, które następnie Niemcy zgwałcili i rozstrzelali. Ich martwe ciała wrzucono do dołu po wybraniu wapnie, nakryto cienką warstwą ziemi i narzucono na nie kamienie budowlane, które leżały obok dołu. [...] Wielu mieszkańców nie chciało dać się oprawcom w ręce i ci pochowali się w zabudowaniach. Wielu z nich zginęło w płomieniach [...]. Część ludzi podczas pożaru opuszczała kryjówki i do tych Niemcy strzelali w czasie ucieczki lub łapali żywych i również strzelali do nich. [...] Brat mój Jan, Kusiak Jan syn Jana i ja — siedząc w schowku, słyszeliśmy krzyk zgwałconych rozstrzeliwanych dziewcząt oraz pojedyncze strzały do uciekających z płonących zabudowań ludzi.

Tymczasem cała wieś płonie; zabudowania przeważnie z drewna i kryte słomą. Wytwarza się „piekielna" temperatura i zrywa się silny wiatr. Wybuchają materiały wybuchowe, pociski oraz granaty ręczne schowane w 1939 r. przez Wojsko Polskie, a później przez partyzantów. Niemcy cofają się od żaru palącej się wsi, ale w dalszym ciągu polują na pojedynczych ludzi wyskakujących z płomieni. Brat mój podnosi właz od schowka, w którym się znajdujemy, i widzimy, że cały nasz budynek jest również w płomieniach. Decydujemy się na zmianę miejsca: ukryjemy się w piwnicy [ziemnej — red.] stojącej w pobliżu.

Z poprzedniej kryjówki ja pierwszy wyskakuję. Niemcy zaczynają strzelać do mnie, lecz na szczęście niecelnie. Padam i udaję martwego. Niemcy przestają strzelać. Brat mój Jan i Kusiak Jan są również przekonani, że jestem zabity, cofają się do schowka. I słyszałem tylko ich ostatnie słowa: „Wolimy zginąć tutaj, niż od kuli niemieckiej".

Po przeleżeniu kilku minut w potwornym gorącu zrzuciłem z siebie kurtkę palącą się na mnie i zacząłem się czołgać w kierunku sterty gałęzi, które się jeszcze paliły. Za stertą spotkałem się z Kusiakiem Józefem synem Michała. [...] Gałęzie zaczęły się mocniej palić, więc musieliśmy zmienić miejsce. Wybraliśmy na krótki czas piwnicę stojącą w pobliżu. Po naradzie doszliśmy jednak do wniosku, że żadna piwnica nie gwarantuje nam bezpieczeństwa, gdyż po skończonym pożarze Niemcy będą kontrolować pożarowisko przy pomocy psów, co też później, istotnie, zrobili. Kusiak Józef zadecydował, że pod osłoną dymu i języków ognia podczołgamy się do schowka, w którym pewien gospodarz hodował świnie, wypuścimy je, a sami się tam ukryjemy. Niestety, po dotarciu na miejsce stwierdziliśmy, że sufit, ułożony z grubych desek i nakryty kamieniami budowlanymi, spłonął; świnie już nie żyły. Straciliśmy wszelką nadzieję i byliśmy pewni, że po całkowitym spłonięciu wsi Niemcy nas odnajdą i rozstrzelają.

Po pewnym czasie zauważyłem dół na ziemniaki od dawna nie używany, na którym tliły się jeszcze wilgotne październikowe składane tam od kilku lat. Podczołgałem się i obejrzałem go, a czasu pozostawało nam coraz mniej, siły i nerwy nasze wyczerpywały się. Kusiak Józef, mimo najszczerszych chęci, nie mógł o własnych siłach podczołgać się do dołu, w którym zamierzaliśmy doczekać do nocy. Gdy dotarliśmy w końcu do tego dołu, okazało się, że drewno użyte na jego konstrukcję jest już dobrze przegnite i dzięki temu z łatwością wyrwaliśmy drzwiczki włazu. Po wejściu zamaskowaliśmy je od wewnątrz. Palcami wygrzebaliśmy dwa otwory naprzeciw siebie, celem dopływu powietrza. Jak poprzednio utrapieniem było gorąco, tak teraz w dole odczuwaliśmy zimno. Ale mieliśmy za to pewność, że nas tu nikt nie znajdzie — nawet pies. [...] Gdy zciemniło się na dworze, ludzie wypuszczeni z Józefowa wrócili do spalonej wsi i kilku z nich odkopało nas gołymi palcami rąk z dołu.

Wysiedlanie. Reprodukcja ze zbiorów Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. H. Łopacińskiego w Lublinie. W. Stępień

Mord dokonany przez hitlerowców w dniu 29 marca 1943 r. pozbawił życia 32 osoby, doszczętnie została spalona wieś składająca się z około sześćdziesięciu gospodarstw. [...] Po uprowadzeniu mieszkańców Pardysówki Dużej do Józefowa, Niemcy przeprowadzili selekcję i zdolnych do pracy ludzi wywieźli do Niemiec. [...] Wiezieni transportem ludzie z Pardysówki wyrwali kolczaste druty w okienku wagonu bydlęcego i tym otworem kilkoro z nich wyskoczyło z jadącego pociągu. W ten sposób uratowała się między innymi Kusiak Genowefa.

Miłość do Ojczyzny mieszkańcy Zamojszczyzny przypłacali życiem, poniewierką po obozach karnych, a ci, którzy mogli walczyć w oddziałach partyzanckich — nie żałowali krwi ani trudu dla Jej wyzwolenia.

Za druty...

Lucyna Zalewska-Romanowicz

BYŁ rok 1942, pierwsze dni grudnia. Zimną i ciemną nocą obudziło nas łomotanie kolb karabinowych do drzwi i okien. Po chwili do domu wtargnęło czterech Niemców, dając nam piętnaście minut na ubranie się i zabranie ze sobą niezbędnych rzeczy. Boso i w koszulach biegaliśmy w panice z pokoju do pokoju. Ktoś wyrzucał ubrania z szafy, mama pakowała do kosza chleb i cukier, ja płakałam.

Wreszcie ojciec, widząc ten zamęt, zaczął kierować „akcją". Nakazał wszystkim dobrze się ubrać. Wkładaliśmy na siebie, co było pod ręką — było dużo. Resztę rzeczy rodzice powrzucali do walizki i torby, pościel związali w prześcieradło. Do szkolnej teczki, którą zabrałam, włożyłam lalkę, pamiętnik, kredki oraz malutki kubeczek, tak przydatny w późniejszym życiu obozowym. Pozbierałam też rozsypane po podłodze zdjęcia rodzinne. Po wyjściu na podwórze ujrzałam sąsiadów spędzonych z całej ulicy. Kobiety i dzieci płakały, mężczyźni stali blади i zdenerwowani. Świtało już, gdy doszliśmy na ul. Powiatową, gdzie czekały na nas furmanki.

Bałam się okropnie, tym gorzej, że dolatywały do moich uszu okropne zdania: „Za druty nas wiozą" — mówili dorośli. „Dzieci zabierają rodzinom i wiozą je na spalenie". Ktoś dodał: „Żydzi mają lepszy los, bo palą ich chociaż razem z dziećmi". Prosiłam więc rodziców, żeby nie oddawali mnie Niemcom, ale wiedziałam, że w naszej rodzinie ja będę spalona z racji moich dziesięciu lat. Byłam przekonana o tym święcie, bo słyszałam, jak ojciec mówił do matki: „Halince doda się rok, bo jest wysoka i zostanie z nami". Siostra miała trzynaście lat, jej rok można było dodać — mnie nie. Wiele przeróżnych myśli kłębiło się wówczas w głowie, płakałam, tym bardziej, że ojciec wciąż mnie tulił do siebie.

Strach wciąż we mnie wzrastał, gdy byliśmy już za bramą lagru, gdy długo staliśmy na placu i wreszcie w baraku, do którego nas wprowadzono, gdzie oglądała nas komisja lekarska. Zaglądali pobieżnie w oczy, oglądali uszy i to była selekcja.

W ciemnym korytarzu w kolejce czekaliśmy na werdykt. Zza drzwi dochodził pisk dzieci, lament matek i podniesiony głos Niemca. Znów płakałam. Wezwano moją rodzinę i kilka innych. Stałam przerażona pod ścianą i patrzyłam, jak jakaś matka zastawiała sobą syna jedynaka, a jej mąż klęczał przed Niemcem na kolanach i błagał o litość. Niemiec, niski blondyn, niższy od swoich ofiar, znęcał się nad każdą matką, bił po twarzy, aż zalana krwią i łzami osuwała się na podłogę, uwalniała dziecko. Mężczyzn „częstował" kopniakami i wyrzucał za drzwi.

Pamiętam kobietę w zaawansowanej ciąży osłaniającej dwuletnich bliźniaków, którą bił, a gdy upadła — kopał w brzuch. Jednej z matek wyrwał z rąk może czteroletniego niebieskookiego blondynka i zaczął ją bić. Dziecko z załzawionymi oczkami podeszło do niego z założonymi raczkami i niewinnie zapytało: „Za co pan bije moją mamę?" Niemiec spojrzał na niego, uśmiechnął się i przestał bić matkę. Na drugi dzień szukał w baraku „tego mądrego chłopca". Podejrzewam teraz, że chłopczyk mógł być przeznaczony na zgermanizowanie.

Swoich przeżyć opisywać nie będę, zbyt są bolesne i wciąż żywe.

Rodziców przeznaczono do baraku nr 10, starców i dzieci — do nr 9. Ogrodzeni kolczastym drutem, oddaleni, nie mogli mi służyć pomocą. Barak z oknami bez szyb, bez sufitu, wyścielony był byle jaką słomą startą na sieczkę. Zniedołężniali starcy, kilka matek z niemowlętami i duże dzieci — siedzieliśmy cały dzień bez wody i jedzenia. W teczce, z którą się nie rozstawałam, miałam pół chleba i trochę cukru, ale chciało mi się pić. Leżałyśmy każde na swoim zawiniątku, płakałyśmy, co mniejsze dzieci wołały: „Mamo, gdzie jesteś!", „Mamo, mnie jest zimno!", „Ja chcę jeść!". Głowa pękała mi z bólu od płaczu, krzyków i tragedii, jaką przeżyłam w ciągu tak krótkiego czasu.

Na wspomnienie, że on, Niemiec, bił mnie i mojego ojca, złość we mnie rosła i przykłam sobie, że jak będę żyć to się zemszczę. Przypomniały mi się słowa ojca, że Niemcy wojnę przegrają, że wojna się skończy — to mnie pocieszało, bo wierzyłam zawsze w to, co mówił ojciec. Przyrzekłam sobie, że osobiście zemszczę się na tym potwornym Niemcu. Spotkałam go w rok później, w Wielką Niedzielę, już po ucieczce z Łaskarzewa. Wróciłam do Zamościu, bo wciąż pamiętałam słowa ojca wypowiedziane przy pożegnaniu: „Jeśli będziesz mogła, uciekaj. Ty musisz żyć, a jak ci się uda, to wracaj do Zamościa, tam się wszyscy spotkamy". Nie dotrzymał tym razem słowa. Zostali oboje z mamą na zawsze w Oświęcimiu.

Wróciłam do Zamościa sama, nie myśląc o niebezpieczeństwie. I właśnie w Wielkanoc zobaczyłam tego potwora jadącego bryczką, chyba z żoną i córeczką. Dziewczynka, trochę młodsza ode mnie, stojąc w bryczce, coś im opowiadała. Oboje uśmiechali się do niej. Stałam jak wryta i bardzo żałowałam, że nie mam pistoletu. Nie mogłam uwierzyć, że ten uśmiechnięty „tatuś" był tak okrutny dla innych dzieci. Miałam ochotę biec za bryczką i krzyczeć. Paraliżował mnie również strach. Kiedy bryczka się oddaliła, poczułam się taka osamotniona i bezdomna, że potrafiłam tylko płakać. Wrócę jednak do wspomnień o życiu w obozie...

Na drugi dzień ewakuowano dorosłych z baraku nr 10, w tym i moich rodziców, do Oświęcimia. Wtedy widziałam ich po raz ostatni. Całe popołudnie płakałam, gdyż zdawałam sobie sprawę, że już mogę liczyć tylko na siebie. W ciągu dwu dni z dziesięciolatki stałam się dorosłą.

Głód w baraku dokuczał nam coraz bardziej, skończyły się zapasy z domu. O godzinie szóstej rano dostawaliśmy czarną kawę bez cukru, o dziesiątej — kromkę chleba, o szesnastej — zupę, którą z kotła czerpało się własnym naczyniem. Przydał mi się bardzo mój kubeczek: służył on również trzyletniej Danusi, którą się opiekowałam, ponieważ jej dziadek leżał w baraku, chyba nieprzytomny, i jęczał. Byliśmy wszyscy głodni, brudni, zawszawieni. Zdobytą wodę trzymaliśmy do picia. Panował świerzb. Ciało drapane paznokciami pokrywało się strupami rozdrapywanymi na nowo. O codziennych „atrakcjach" przygotowywanych dla nas przez Niemców pisać nie chcę.

Może wspomnę o ewakuacji...

Pewnego wieczora spędzono wszystkie dzieci na plac i pakowano do ciężarówek. Stojący obok „naszego" samochodu Niemiec bił nas laską, aby jak najwięcej dzieci zmieściło się w ciężarówce. W ogromnym ścisku jechaliśmy do rampy koło cmentarza, a tam nas ładowano do pociągu towarowego. O suchym kawałku chleba, bez wody, w zamkniętych dusznych wagonach wożono nas od stacji do stacji. Staliśmy godzinami na jakichś bocznicach. Ile to trwało dni, nie pamiętam, może trzy - cztery. Dzieci umierały na biegunkę, mieliśmy okropne pragnienie. Było nam już wszystko jedno, co z nami zrobią: spalą, utopią czy rozstrzelają. Kiedy otworzono wagony, okazało się, że jesteśmy w Sobolewie. Kobiety z opaskami Czerwonego Krzyża podały nam kawę i chleb. [...]

Dziwi czasem znajomych, że tragiczne przeżycia z dzieciństwa nie odcisnęły się na mojej psychice. Możliwe. Ale ja sama wiem, ile sił kosztuje mnie ukrywanie stanu nerwicy. Na swoje sny wpływu, niestety, nie mam. Kiedy śnią mi się Niemcy stawiam swym krzykiem wszystkich na nogi. Krzyczałam we śnie będąc w Domu Dziecka, w internatach, w szpitalu. Już tyle lat minęło od tamtych dni, a oni przychodzą w dalszym ciągu i przerażają mnie.

Kazimierz Andrzej Jaworski, poeta, tłumacz, pedagog, założyciel „Kameny" ukończyłby 28 listopada 1982 r. 85 lat. W związku z tą rocznicą przypominamy jeden z wierszy KAJ-a pt. „Do rodzinnego miasta", wybrany z jego pierwszego zbiorku pt. „Czerwonej i białej kochance".

Fot. M. AJ

Kazimierz Andrzej Jaworski

DO RODZINNEGO MIASTA

Matce mojej

Dziś dopiero sobie przypomniałem
— no, pomyślcie, wszak to coś strasznego!
tyle wierszy już w życiu pisałem,
a o mieście swym ani jednego.

A więc biję się ze skruchą w piersi,
bo naprawdę to jest wielka wina:
tu mnie wszyscy oglądali pierwsi,
kiedym jeszcze był małą dzieciną.

I te wszystkie żydowskie okienka,
te cuchnące i brudne rynsztoki
pamiętają, jak byłem maleńki
i kroczkami były me kroki.

Tu był ojciec kochany lekarzem
i mówiłem do niego: tatusiu.
(Czarna płyta dzisiaj na cmentarzu:
moje pierwsze twarde — tak być musi...)

Jakaż radość to była w niedzielę,
gdy mnie ojciec do cyrku brał czasem...
O, trapezy, klowni, karuzele!
O, orkiestro grzmiąca z hałasem!

Nieraz z matką szedłem do kościoła,
gdzie naprawdę mieszkał Pan Bóg wtedy...
(Dzisiaj wiem, że wszędzie na mnie woła,
i w kościele bywam rzadko kiedy).

O, poezjo nabożeństw majowych!
Srebrny głosie kościelnego dzwonka!
(I nie przyszło mi wtedy do głowy:
będę wołał kiedyś pieśń skowronka...)

Tu wyrosłem na dużego chłopca
(jest gdzieś moja szkolna podobizna),
tu dławiła wrogów mowa obca
i bolało mnie słowo — Ojczyzna.

Przechodziło się z klasy do klasy,
nawet brało się listy pochwalne.
(Dobre były i niedobre czasy...
O, duszące mury gimnazjalne!)

O, dziecinne me indiańskie skalpy!
O, wigwamy gdzieś w dziewiczym borze!
(Dzisiaj kuszą mnie Tatry i Alpy,
i błękitne, roześmiane morze).

Tutaj były też pierwsze uśmiechy
i z dziewczęcych spojrzeń radość pusta,
moje pierwsze, tak niewinne grzechy,
gdym dowiedział się, po co są usta...

A za miastem jest cichy cmentarzyk,
gdzie złożono przenajdroższe kości,
więc cokolwiek w mym życiu się zdarzy,
tu zostanie część mojej miłości.

Tak. Tu pomnik mój nigdy nie stanie:
nikt nie bywa w swym mieście prorokiem.
Jednak wiem, że nawet w Hindustanie
w stronę Chełma spojrzę łzawym okiem.

Kazimierz Andrzej Jaworski ma jednak swój pomnik w Chełmie. Jego imieniem została nazwana szkoła, w której murach niegdyś nauczał... (Red.)

Marzenia zaśnięciem przed

Dokończenie ze str. 1

skiego funkcjonował teatrzyk szkolny, wystawiający ambitną klasykę rodzimą i obcą. W tymże ansamblu, mając lat prawie osiemnaście, zagrała życiową rolę w „Kochankach z Werony" Iwaszkiewicza. Grażyna-Julia spodobała się nie tylko widzom przemyskim, ale została też dostrzeżona przez prasę rzeszowską i warszawską. Pisano o niej dobrze i przewidywano tzw. przyszłość.

I to się nie mogło skończyć inaczej niż zdawaniem do PWST. Wybrała jednak... lalkarstwo we Wrocławiu, bo nasłuchała się opowieści, że dostanie się do Warszawy, Łodzi czy Krakowa nie przychodzi łatwo zwykłemu kandydatowi; jeżeli — w ogóle. Zresztą i Wrocław nie przyszedł tak łatwo... Dojechała akurat w ostatnim dniu egzaminów. Coś jej się pomyliło z terminami i — jak mówi — w tym całe szczęście.

Przez rok przebywała we Wrocławiu i oswajała się z atmosferą szkoły. Podpatrywała kolegów. Chodziła na niektóre zajęcia. Kiedy stawała do egzaminu, spóźnionego o rok, była prawie pewna sukcesu. Tak samo, jak poprzednio tego, że gdyby przyjechała na czas, z pewnością oblałaby i sen o teatrze by się skończył.

Przez studia przeszła chwalona nie tylko za talent i wyniki, ale i za ów „drive" i kontaktowość. Z okresu szkoły Grażyna najmilej wspomina swoją opiekunkę roku Krzesisławę Dubiel, prowadzącą przedmiot: „Sceny aktorskie", oraz Marię Zbyszewską i Grzegorza Mrówczyńskiego, również fachmanów dużego kalibru. W szkole zanotowała też sukces zawodowy, grając z dużym powodzeniem w sztuce Patrick'a „Dzieci Kennedy'ego" młodą aktorkę marzącą o karierze Marilyn Monroe. Sztukę wystawiał teatr szkolny a prasa znów zwróciła uwagę na Grażynę, co jakby utwierdziło ją w przekonaniu, że się nie pomyliła z wyborem uczelni. Szkołę ukończyła bardzo dobrze, broniąc pracy pt. „Komedia dell'arte w Anglii" i stając się magistrem sztuki.

W tym samym czasie jej chłopak obronił magisterium w UMCS, został asystentem i zaczął ją namawiać na przyjazd do Lublina. Sile argumentów przyszłego — jak się okazało — męża Grażyny towarzyszył pewien fakt. Dyrektorem Teatru Lalki i Aktora im Andersena był Felenczak, znany z nowatorstwa, przede wszystkim zaś z tego, że nie bał się pokazywać w teatrze lalkowym także... aktora. I to był kolejny szczęśliwy traf Grażyny.

Felenczak obsadził ją od razu w głównej roli sztuki „Przygody Maja" pióra KTT, a z muzyką Wasowskiego. Zagrała w tej sztuce około 150 razy z dużym powodzeniem, zwłaszcza u dzieci, które bardzo żywo przeżywały przedstawienie, ich sympatia ścigała Grażynę nawet na ulicy, gdzie po rozpoznaniu wręczały jej cukierki, na przykład.

Obok troski o rozwój artystycznego emploi dyrektor pomógł startującej dziewczynie w zdobyciu mieszkania na Czubach. Był to kolejny fart Grażyny, bo normalną drogą owa operacja przebiegałaby jeszcze chyba z pięć lat. Mogła zacząć także meblowanie swego M-3, a nie tylko życia teatralnego. Czyniła to zresztą już z mężem, a przy pomocy wybitnej rodziców, którzy dostarczali z Przemyśla to szafki kuchenne, to firanki, to tefio-

Góra: „Czasami zdąży ugotować obiad..."

Dół: „Role amantek przestaje się z wiekiem grać i trzeba szukać w sobie charakterystyczności"

Fot.: Jacek Mirosław

Jezioro Genewskie (6)

Śladami Henryka Sienkiewicza

Mirosław Derecki

25 WRZEŚNIA 1915 roku odwiedził Sienkiewicza w Vevey Romain Rolland, który zanotował potem w swym pamiętniku: „Sienkiewicz to starzec w wieku 60—70 lat, robi wrażenie jeszcze dość silnego i krzepkiego. Ma dużą głowę, siwe włosy, mocne czoło, lorgnon, bródkę, żółtą cerę, niski, gruby głos i nieco słaby słuch. Mówi, że jest bardzo przeciążony i przemęczony obowiązkami prezesa Towarzystwa Pomocy Polakom". Po kolejnych odwiedzinach, 1 października Rolland zapisał: „Zdaje się, że Sienkiewicz źle znosi pogodę, która jest przykra od paru dni. [...] Jest dość mocno zakatarzony. Twarz wydaje się bardzo stara, oczy jak u chorego, skóra mu się łuszczy. Ale chód jeszcze dość żwawy, gawędzi wesoło, chociaż z pewną ociężałością".

Sam Sienkiewicz zdawał sobie sprawę, że nie jest z nim dobrze. W jednym z listów do Ignacego Chrzanowskiego stwierdzał otwarcie: „Przykrzy się Szwajcaria i radzibyśmy wrócić do Warszawy lub do Oblęgorka, ale kiedy to będzie możliwe, kiedy komitet ukończy swoje czynności, kiedy się skończy ta zawierucha, nie wiemy i nie umiemy przewidzieć. Stąd brak spokoju i skupienia, niezbędnego przy każdej robocie. Drugą przeszkodą jest moje zdrowie, bardzo poważnie zagrożone. Nie mogę wsadzać głowy w śnieg jak kuropatwa i łudzić się, że skoro jastrzębia nie widzę, to go nie ma. Mam mocno rozwiniętą chorobę sercową, powodującą duszności i zawroty głowy i zdaję sobie doskonale sprawę, że to może trwać, ale może się i skończyć prędko. Szczerze ci mówię, że myślę o tym zimno, raz dlatego, że jestem ogromnie zmęczony, a po wtóre dlatego, że jeśli zasypianie bywa nieprzyjemne; to za to sen jest, co się nazywa, głęboki".

Na dodatek opuszczali go najbliżsi. W październiku 1915 r. ukochana córka, towarzysząca mu w tylu podróżach Dzinka, wyjechała do Krakowa, aby tam pracować w legionowym szpitalu. Razem z nią pojechali do kraju Janczewscy, zabierając ze sobą starą panią Szetkiewiczową. Pozostał wprawdzie syn oraz młody Edward Ianczewski, ale i oni nie mieli co robić w Vevey. Przenieśli się do Lozanny. Zresztą syn Sienkiewicza, również Henryk, miał swoje zajęcia; był on sekretarzem działającego w Szwajcarii pod przewodnictwem Jana Kucharzewskiego Stowarzyszenia „La Pologne et la guerre".

5 maja 1916 r. Henryk Sienkiewicz skończył siedemdziesiąt lat. Nadal sporo pisał, w każdą sobotę przewodniczył spotkaniom Komitetu Veveyskiego, lecz czuł się źle. Wciąż odzywało się serce, miał poważnie zaawansowaną sklerozę. Nawet ucieszył się, że jubileusz siedemdziesięciolecia może spędzić w spokoju, bez — jak pisał do Chrzanowskiego — „rozmaitych obchodów i ceregieli".

Na portrecie namalowanym w 1916 r. przez Olgę Boznańską, na zdjęciach wykonanych na tarasie pałacyku Paderewskiego w Morges — Henryk Sienkiewicz jest właśnie taki, jakim go ujrzał Romain Rolland: drobny, siwowłosy, łagodny stary człowiek z bródką. Gdzie się podział niegdysiejszy Litwos? Ten, który gotów był jechać za panią Heleną Modrzejewską na koniec świata, za ocean, aż do Kalifornii, i tam polować pośród prerii, i wąchać dym z indiańskich ognisk?

*

Od Musée Jenish biegnie na południe mała, wąska uliczka — Rue du Musée. Wielu mieszkańców Vevey skraca sobie tędy drogę do centralnej, staromiejskiej Rue du Simplon, ciągnącej się równolegle do jeziora. Ja też poszedłem tą drogą. Rue du Simplon przechodzi dalej ku wschodowi, obok miejskiego ratusza, w Rue d'Italie. Pełno tu antykwariatów, kawiarenek, niewielkich restauracji, sklepików. To właśnie po tej ulicy sześćdziesiąt lat temu spacerował Henryk Sienkiewicz, wstępował, być może, do tych samych sklepów, kafejek, bistro... Mieszkał wszak na samym końcu Rue d'Italie, w egzystującym do dzisiaj eleganckim Hôtel du Lac.

W tamtych czasach hotel ten znajdował się prawie na skraju miasta. Położenie miał wspaniałe: stosunkowo blisko centrum, a jednocześnie na uboczu, spoglądał większością okien

nowe garnki i czajnik z gwizdkiem. Pomogli również przebudować mieszkanie i zrobić z dwóch pokoi... trzy. Tak żeby i mąż-naukowiec miał gdzie tworzyć, ona przepowiadać role, a i znajomi być podejmowani. Sporo rzeczy do mieszkania załatwili po znajomości, ale nie wszystko. Brak, na przykład, pralki automatycznej. Kiedyś Grażyna przeczytała ogłoszenie w „Kurierze" i zadzwoniła. Żądano za polski „automat" 30 000 złotych albo też 160 „bonów", co ją wyleczyło na pewien czas z czytania rubryki ogłoszeń, a zachęciło do kredytu MM.

W sprawie MM Grażyna jest właśnie na etapie poszukiwania żyrantów, co nie jest łatwe, bo rygory NBP stworzył straszliwe: do 52 lat, nie rencista, zdrowy, nie zadłużony, odpowiednio zarabiający itd. Przypomina to bardziej ofertę matrymonialną. Ale cóż? Jak mus, to mus. Kogoś się znajdzie.

Kiedy z Lublina odszedł Fełenczak, Grażyna Jakubecka z przykrością stwierdziła, że nie ma co w „lalkach" lubelskich robić i udała się do dyrektora Ignacego Gogolewskiego, proponując mu siebie jako nowego członka zespołu Teatru im. Osterwy. Po piętnastominutowej rozmowie dyrektor przyjął ją do pracy.

Na początku sezonu 1981/82 Grażyna już zaczęła powoli wątpić w swój fart. Zaczęły się próby do „Maskarady" i „Paska", a jej nic nie zaproponowano. Chodziła, nie mogąc sobie znaleźć miejsca, pełna czarnych myśli. Wreszcie dowiedziała się, że zagra w sztuce „Król w kraju rozkoszy" rolę Fiołka, dziewczyny do towarzystwa króla. Co się zresztą stało. Mimo występów „w tle", została zauważona. Podobnie zresztą, jak i w „Lekkomyślnej siostrze", gdzie grała Pokojówkę; wesołą, roześmianą, dziewczęcą bardzo, czyli taką, jaką Grażyna jest na co dzień. Z pokorą godną profesji aktorskiej wspomina ona ową rólkę jako możliwość podpatrywania znakomitych kolegów i koleżanek, za którym to określeniem kryją się nazwiska: Koziarskiej, Wronowskiej i Wysockiego. Uświadomili Grażynie, co ma jeszcze w tym fachu do zrobienia, a przedtem — nauczenia. Przyznaje to zresztą bez żenady.

Trzecią rolą jest grana do dziś Karen w „Zaczarowanych pantofelkach", sztuce dla dzieci. Grażyna czuje się w tej tytułowej roli znakomicie. Gra to, co lubi, dziewczynę uśmiechniętą, radosną. No i dla widowni dziecięcej, czyli tej najwdzięczniejszej.

Ostatnią obsadą Grażyny Jakubeckiej jest inaugurująca obecny sezon „Mme Sans-Gene" V. Sardou. Rola niewielka, ale wdzięczna — Praczki w interesie tytułowej bohaterki. Weszła w próby dość późno, bo obsadzono w tej roli kogo innego, a dopiero potem ową pomyłkę skorygowano. Rola ta jest kolejnym sprawdzianem, a i szansą na coś większego. Jest to postać mocna, bardzo konkretna, wymagająca niemałego temperamentu, a i uroków ciała. Tak się składa, że Grażyna ma i jedno, i drugie. Mogli się o tym przekonć, na przykład, widzowie premiery, kiedy „puściło" zapięcie bluzki i publika zobaczyła biust aktorki, będąc przekonana zresztą o pełnej premedytacji reżysera i odtwórczyni. Reklamowanie tych akurat walorów może się wydać jednostronne, należy więc dodać, że w I akcie „Mme Sans-Gene" indywidualność Grażyny jest konkurencyjna z innymi — bardziej eksponowanymi postaciami. I nie jest to opinia tylko niżej podpisanego, a kilku bywalców teatru — daleko lepszych i bardziej fachowych. Wypada zatem poczekać na kolejne wcielenia.

Owe superlatywy sama zainteresowana przyjmuje raczej mało entuzajstycznie, twierdząc, że jeszcze wiele musi się uczyć, i podkreślając atmosferę zespołu bardzo jej pomocną. W szczerość tego wyznania wątpić nie wypada.

Dalsza część rozmowy już w pokoju, gdzie pod ścianą regał, w Cepelii nabyty przypadkiem, ale za duże pieniądze, czyli za ponad 10-krotność pensji aktorki lubelskiej z krótkim stażem. Pensja owa wynosi... 3900 zł (!?), w tym obowiązek 12 przedstawień. Z dodatkami, rekompensatą i czymśtam jeszcze wychodzi tego 6200 zł, czyli tyle akurat, żeby wyrobić w młodym aktorze silne przekonanie, iż w tym zawodzie powołanie jest najważniejsze. Wysokość zarobków Grażynie jednak nie przeszkadza, a właściwie jest jej nawet obojętna, czym zapewne ucieszyłaby ministra Krasińskiego. Mąż zarabia prawie dziewięć, czyli razem dociągają do piętnastu. To nie jest źle. Oczywiście, jeżeli nie ma dziecka. A na razie nie ma. Układ ma Grażyna z mężem partnerski. Brzmi to tajemniczo i modernistycznie. W gruncie rzeczy chodzi o to, że jeszcze im się nie znudziło spotykanie tylko — jak to żartem określa — w łóżku, czyli po 22-ej. W dzień on jest na uczelni, a ona albo gra o 11-tej dla dzieci, albo „próbuje". Wieczorem on wraca, ona gra. Czasami zdąży mu ugotować obiad. Pierogi ruskie, knedle czeskie albo polskiego schabowego. Ten schab nie jest wcale mitem: dowozi go mama Grażyny z Przemyśla. Grażyna umie jeszcze robić różne zapiekanki, ale nie ma na to czasu. Podobnie, jak i na pieczenie. Zresztą piec, prawdę mówiąc, nie umie. Może by się nauczyła, gdyby miała pralkę automatyczną (i zaoszczędziła czasu na praniu).

W związku z życiem rodzinnym Grażyna Jakubecka wygłasza teorię, że najważniejszy jest „Złoty Środek" (specjalnie — dużymi literami). Polega on na pogodzeniu teatru z domem, czyli na czymś mało realnym. Jeśli mąż i żona są aktorami, to jeszcze nie ma problemu. U niej też na razie nie ma, ale jak długo to mąż wytrzyma? A niechby się zdarzyła szansa przejścia do warszawskiego teatru. Co wtedy? Co powie mąż? Przeniesie się ze swojej uczelni, czy nie? Skąd wziąć w stolicy mieszkanie? A jeżeli będzie już dziecko?

Zadaje sobie te pytanie Grażyna i nie odpowiada. I ja jej się nie dziwię, bo jasnych odpowiedzi być nie może. Rozumiem dobrze natomiast, dlaczego twierdzi, że w aktorstwie liczy się przede wszystkim szczęście .Czy Janda byłaby dziś Jandą, gdyby na trzecim roku studiów nie zagrała u Wajdy?

Ona, Grażyna Jakubecka, też już mogła zagrać główną rolę, Chodziło o film kostiumowy, w którym kreować miała młodą szlachciankę-wampirzycę. Scenariusz przewidywał odważne sceny erotyczne. Odmówiła. Nie z powodu wstydu bynajmniej. Nie chciała być od początku kojarzona z rozbieraniem się i łóżkiem. Czy straciła swoją szansę?

Grażyna twierdzi, że przygoda aktorska zaczyna się dopiero w teatrze. W szkole można się nauczyć pewnych sygnałów aktorskich, otworzyć się. Resztę zdobywa się na scenie, podglądając starszych kolegów, ucząc się od nich. Do tego najlepszy jest repertuar klasyczny, wymagający większych umiejętności niż współczesny. W tym akurat Grażyna różni się pewnie od większości jej rówieśników. Tematyka współczesna — owszem, ale w filmie, który dysponuje innymi możliwościami technicznymi. Z powodu takich akurat poglądów zdecydowała się próbować wejść do obecnego zespołu, kierowanego przez zwolennika klasyki przecież — Gogolewskiego. Ma nadzieję grać tu dużo i w różnorodnym repertuarze. To akurat wyznanie może wyglądać na konformizm i „wypasowywanie się" pod dyrektora, broni się jednak tym, że miało być zupełnie prywatne i nie do pisma.

Przy tym temacie Grażyna wymienia swoje wzory aktorskie: Swiderskiego, Łapickiego, Fronczewskiego oraz: Budzisz-Krzyżanowską, Cieślak-Jankowską i Jandę. Marzy jej się zagranie u Polańskiego i Wajdy. Myślę, że nie należy śmiać się z tych pragnień.

Odpowiedź na pytanie: „Dla jakich ludzi jest to zawód?", w wydaniu debiutantki trochę zaskakuje. Twierdzi ona, że dla silnych. Przede wszystkim! To na pierwszym miejscu. Potem dopiero talent, pracowitość... Uważa, że nie można „bezkarnie" angażować swoich uczuć w teatr, jeśli nie jest się gotowym na stressy, porażki, obciążenia psychiczne, bo takich teatr niszczy. Wspomina przy tej okazji o Zapasiewiczu, który przez ponad 10 lat uznawany był za aktora nierozwojowego i dopiero mając sporo ponad trzydziestkę, osiągnął swój wielki poziom. To wymagało szalonej siły i odporności...

Innym problemem, przede wszystkim psychologicznym, jest u aktorek sprawa „wyboru" drogi, emploi. Role amantek przestaje się z wiekiem grać i trzeba szukać w sobie charakterystyczności. Wiele aktorek w tym właśnie momencie przegrywa. Może nawet większość. Grażyna nie chciałaby przegrać.

O pułapach zawodu rozmawiamy przy piosenkach „Betlesów". Grażyna ma pokaźną płytotekę tego zespołu i pozostaje mu wierna ponad obecne mody. Twierdzi, że owa stałość jest cechą jej charakteru i pozwala skutecznie pokonywać pokusy grania nie tylko w teatrze, ale i w życiu. Świadomość możliwości aktorskich ma i wie, że przy ich pomocy można sporo osiągnąć. Co gorsze, większość ludzi podchodzi do aktorów z pewną rezerwą i nieufnością, tak jak na przykład do psychoanalityków. Dlatego Grażyna często woli nie ujawniać, co robi. Owa potrzeba normalności jest niestety sprzeczna z podświadomym dążeniem do popularności, do posiadania nazwiska i świadomości, że „na" to nazwisko ludzie idą do teatru.

Grażyna odkryła w teatrze inną jeszcze wartość. Bardzo zresztą komfortową, jak na dzisiejsze czasy. Mówi, że teatr jest dla niej wszystkim i dzięki temu rzeczywistość zewnętrzna jest dla niej bardziej obojętna, a przez to mniej groźna i brutalna niż dla innych jej rówieśniczek. Ufa, że w tym „śnie" przeczeka kilka najbliższych lat kryzysu, niespełnionych nadziei i niewykorzystanych szans. A potem obudzi się wśród polnych kwiatków, które były dla niej zawsze symbolem szczęścia i spokoju. Czasem jednak, na krótko przed zaśnięciem, obawia się, że obudzi się kimś innym. Już nie — aktorką. Odgania jednak szybko takie myśli. Wtedy zasypia.

Nie przeszkadzajmy jej we śnie. Rano czeka ją kolejka po mleko i bułki.

Waldemar Piasecki

---

swej czterokondygnacyjnej sylwety na Jezioro Genewskie i spiętrzony za nim masyw Dents-du-Midi, od brzegu jeziora oddzielał go jedynie pas obsadzonego platanami bulwaru Quai Perdonnet. Otwarty w październiku 1868 r., hotel miał, jak na ówczesne czasy, wszelkie wygody, zaliczał się do najbardziej ekskluzywnych i najbardziej wygodnych hoteli w Vevey. Te właściwości zachował zresztą — po odpowiedniej, dyskretnej modernizacji — do dzisiaj.

Tablicę pamiątkową ku czci Sienkiewicza wmurowano w fasadę Hôtel du Lac nieco powyżej okien parteru, na lewo od głównego wejścia, od strony Rue d'Italie. Na marmurowej płycie wyodrębnia się medalion ze spiżu z popiersiem pisarza; na dole płyty rozpościera skrzydła spiżowy orzeł. Po obu stronach medalionu widnieją daty: 1846 — 1916, a przestrzeń między medalionem i orłem wypełniają złote litery napisu:

Henryk Sienkiewicz
L'auteur de Quo Vadis
Habita cette maison
de 1914 á 1916
et y mourut

Offert par Zbigniew Paray-Łukaczyński

Deszcz znowu zaczął padać. Padał tak mocno, że zalewał strony notesu, gdy próbowałem zapisać treść epitafium ufundowanego przez wiernego czytelnika i wielbiciela Sienkiewicza, pana Łukaczyńskiego.

Potem wszedłem do obszernego hotelowego hallu. W recepcji powitał mnie dyrektor przybytku, pan Peter Ehrensperger: — What can I do for you? Pan pyta o książkę gości hotelowych z 1916 roku? Ależ to drobnostka, już panu służę...

W Szwajcarii często wydaje się, jakby czas stanął w miejscu. Pan Ehrensperger sięgnął ręką na półkę... i oto już miałem przed sobą wielki, obciągnięty brązową skórą foliał z czerwoną plakietką, na której złocił się napis: „Grand Hôtel du Lac. Livre des Etrangers". W rubryce: Numeros de l'Appartement" z 1915 r. pod numerem 44 zapisani są: M. Henryk Sienkiewicz i Mme Marie Sienkiewicz — Pologne. A dalej adnotacja: „Arrivée: 30 Nov., Départ: 24 Juillet". I jeszcze uwagi o pokojach, które zajmowali: apartament nr 44, składający się z pokoi 43, 44 i 45. Pokoje te znajdowały się — i nadal się znajdują pod tymi samymi numerami — na drugim piętrze hotelu. Największy z nich, nr 44, z obszernym, ocenionym czerwoną markizą balkonem, wychodzi na jezioro. W tych trzech pokojach mieszkali państwo Sienkiewiczowie od 30 listopada 1915 r. do 24 lipca 1916 r., kiedy to wyjechali na sześć tygodni na kurację do odległego o 30 kilometrów Bex-les-Bains, zatrzymując się tam w hotelu „Des Salines". W Bex, kąpielisku z solankowymi i siarkowymi wodami leczniczymi, kurowano pacjentów m. in. z chorobami serca, nadciśnieniem, arteriosklerozą.

Ale wróćmy do Hôtel du Lac. Sienkiewiczowie nie byli tutaj jednymi Polakami. Przeciwnie, do budynku przy Rue d'Italie ciągnęli liczni przybysze z kraju, wśród nich osoby związane z działalnością różnych organizacji politycznych czy charytatywnych, albo po prostu tacy, którzy chcieli przesiedzieć w Szwajcarii z dala od wojny. W tym samym czasie, co Henryk Sienkiewicz, mieszkał w Hôtel du Lac — „M. Antoine Osuchowski de Varsowie", który zajmował pokój nr 49. W grudniu 1915 r. „stanęła" w pokoju Nr 22 Mme de Jackowska de Pologne, 23 grudnia zajęła pokój nr 42 Mme de Pilica Pilecka, tegoż samego dnia pokój nr 41 otrzymali — comte Wladimir Lubieniecki oraz Georges Lubieniecki, pozostając w nim aż do 4 stycznia 1917 r. Pokój nr 56 wynajmował przez kilka dni profesor „de Kowalski" z Fryburga. W 1916 r. w pokoju nr 48 mieszkał od 4 do 5 marca „M. Mickiewicz Ladislas" — Władysław Mickiewicz, syn wielkiego Adama.

Po zakończeniu kuracji w Bex-les-Bains, Maria i Henryk Sienkiewiczowie wrócili 4 września 1916 r. do Hôtel du Lac. Tym razem zajęli trzy pokoje, również na drugim piętrze, ale od strony wschodniej i północnej: numery — 41, 42 i 43. Największy z nich, nr 41, wychodzi na Rue d'Italie. Z okien roztacza się wspaniały widok na szczyty Alp vaudyjskich, nieopodal wznosi się ku niebu wieża kościoła katolickiego Notre-Dame. Jest rzeczą najbardziej prawdopodobną — jak twierdzi Peter Ehrensperger — iż właśnie nr 41 był pokojem zajmowanym przez Henryka Sienkiewicza, że tutaj znajdował się jego gabinet i że tu właśnie pisarz zmarł 15 listopada 1916 r.

W księdze hotelowej przy nazwisku Henryka Sienkiewicza znajduje się znak krzyża i data: 15 Nov. 1916. Nie wpisano tylko godziny: 9 wieczorem. Wtedy właśnie nastąpił koniec.

Pogorszenie przyszło nagle. Przybyły lekarz nie potrafił już nic poradzić. Stało się zresztą tak, jak sam Sienkiewicz przewidywał. Śmierć mogła go nawiedzić w każdej chwili. „Sen, co się nazywa, głęboki..."

Miejscowy lekarz, dr Ch. de Montet, stwierdził oficjalnie, że pisarz zmarł „na sklerozę naczyń wieńcowych". Dziesięć dni wcześniej Sienkiewicz napisał ostatnią swoją prozę, „Wspomnienie". Wspominał Warszawę lat młodości, Stare Miasto, katedrę św. Jana...

Pogrzeb Henryka Sienkiewicza odbył się w Vevey 22 listopada 1916 r. o godzinie 11 rano. Wzięli w nim udział, oprócz najbliższej rodziny, przedstawicieli Komitetu Vevejskiego i grona przyjaciół, reprezentanci Szwajcarskiej Rady Związkowej, przedstawiciele sześciu wielkich państw europejskich, delegaci Serbskiej Akademii oraz polskich towarzystw działających w Szwajcarii. Nad trumną przemawiał ksiądz Jan Gralewski.

Trumna spoczęła w podziemiach kościoła Notre Dame przy Rue des Chenevieres 4. Tego kościoła, którego wieżę widać z okien pokoju nr 41 w Hôtel du Lac.

Maria z Babskich Sienkiewiczowa mieszkała jeszcze tutaj do 17 stycznia 1917 r.

*

Peter Ehrensperger otworzył drzwi, do pokoju wtargnęło ostre, czyste jak łza, powietrze. Wyszliśmy na balkon. — Niech pan spojrzy — odezwał się do mnie — na Rochers de Naye: na szczytach już biało. W górach spadł pierwszy śnieg. Stąd ten chłód. Czy nie jest pięknie? On też — dodał po chwili — zdołał zobaczyć pierwszy śnieg.

*

Pierwszą część tego tekstu: „Śladami Henryka Sienkiewicza" zamieściliśmy w numerze poprzednim. (Red.)

BIORYTMY

Dokończenie ze str 1

nie słoneczne, zmiany pogody) oraz wewnętrznych — wynikających z autonomicznego funkcjonowania organów u człowieka.

AB: — Człowiek przeważnie nie ma świadomości, że stanowi drobinkę kosmiczną i trudno mu uwierzyć, iż zależy od czegoś, co nie jest jego mózgiem. Więcej, chce, żeby wszystko zależało wyłącznie od niego...

ZJ: — Przedstawiłem teorię kompromisową, ale są jeszcze poglądy motywujące występowanie biorytmów wyłącznie czynnikami zewnętrznymi lub wyłącznie wewnętrznymi. Zwolennicy tej ostatniej krańcowości twierdzą, że człowiek jest zbyt dobrze pomyślanym tworem, żeby wpływy zewnętrzne miały jakiekolwiek znaczenie dla jego organów.

AB: — Czy obu krańcowości nie można pogodzić faktem istnienia zegara biologicznego?

ZJ: — Właściwie nie wiadomo, bo nawet nie ma pewności, w jakich partiach mózgu ten zegar się znajduje. Chociaż u prostszych organizmów zlokalizowano go, na przykład u karaluchów w zwoju podprzełykowym. W tym celu wytrenowano karaluchy, by żerowały w porach niezgodnych z ich nawykami, a następnie ich zwoje podprzełykowe przeszczepiono normalnym karaluchom. Okazało się, że normalne przyjęły zwyczaje dawców. Wniosek stąd również taki, że promieniowanie słoneczne, które całą przyrodę zmusza do życia w określonych cyklach światła i ciemności, wymusza określony rytm życia zakodowany genetycznie, ale można go zmienić. Niestety, przynajmniej na ludziach — nie wiem jak z karaluchami — odbija się to negatywnie. A jednak jesteśmy zachwyceni rozwojem cywilizacji naruszającej rytmy biologiczne (na przykład dzięki elektryczności pracujemy nocą) i godzimy się na fizjologiczne zakłócenia.

AB: — Co wobec tego sądzi pan o pracy na zmiany w fabrykach?

ZJ: — System pracy tydzień na tydzień nie bierze pod uwagę faktu, że muszą minąć dwa, trzy dni zanim człowiek przestawi się z pracy dziennej na nocną. Kiedy pod koniec tygodnia uzyskuje pełną wydajność, akurat następuje zmiana. Jestem za wydłużeniem zmianowości przynajmniej do dwóch tygodni, jeśli pracodawcom zależy, żeby uchronić personel przed bezsennością, nerwicami, psychozami, chorobami wrzodowymi i wieńcowymi, wypadkami, no i przed kiepską wydajnością.

AB: — Rytmy dobowe i tygodniowe są chyba dla nas najciekawsze...

ZJ: — Bo są najpopularniejsze. Jeśli przypomnę, że ludzie dzielą się na tych promiennych i rześkich skoro świt i tych, którym dopiero po obiedzie w sposób widoczny poprawia się nastrój, nie powiem nic nowego.

AB: — Czy można przerobić człowieka-sowę w człowieka-skowronka?

ZJ: — Po pierwsze, większość populacji to ludzie poranka. Po drugie, przyzwyczajenie jest drugą naturą. Jednak człowiek „przerobiony" zawsze będzie się z tym trochę męczył. Optymalną wydajność osiąga się wtedy, gdy zna się swój rytm sprawności i można zgodnie z nim pracować. Z powyższego rozumowania zrodziła się koncepcja ruchomego dnia pracy, uwzględniająca zmienną wydolność człowieka. Pierwsze ostrożne eksperymenty w 1967 roku podjęła zachodnioniemiecka firma Messerschmitt — Boelkow — Blohm. Również i u nas na początku lat siedemdziesiątych próbowano zastosować namiastkę ruchomego dnia pracy, ale brak zdyscyplinowania i nieoczekiwane kombinacje położyły sprawę.

AB: — Czyli tylko ludzie wolnych zawodów mogą pracować zgodnie ze swoimi biorytmami?

ZJ: — Jeśli mogą. Oni też podlegają wymogom zorganizowanego życia i jeżeli są sowami, a więc rano z trudem się rozkręcają, zaś po południu mają obowiązki — muszą coś z sobą zrobić, umiejętnie i powoli zmieniając swoje rytmy.

AB: — Robi pan pracę doktorską o wpływach rytmów biologicznych na skuteczność uczenia się. Czy obecna organizacja nauki im odpowiada, czy raczej powinna się do nich dostosować?

Zygmunt Jańczyk

ZJ: — Większość zajęć szkolnych zaczyna się rano, a dobrze byłoby organizować je w cyklu dziewięciogodzinnym. Zawsze z rana około dwu godzin trzeba przeznaczyć na rozruch. Najlepszy czas pracy przypada między godzinami 10 a 12. Potem wydajność się zmniejsza, by wzrosnąć po południu, w godzinach 16—18.

AB: — *Czyli w szkole, gdy przypada duża przerwa — marnuje się najlepszy czas?*

ZJ: — Istotnie. I najtrudniejsze lekcje nie powinny zaczynać się z rana.

AB: — *Dzieje się nie bez powodu uczniowie Europy Zachodniej zaczynają pracę później i później ją kończą. Ale czy jest to możliwe w naszym szkolnictwie?*

ZJ: — Ze względów finansowych pewnie nie. W szkołach trwa nauka na zmiany i pojawiłyby się zastrzeżenia organizacyjne. Należałoby zmienić też programy nauczania, żeby w krótszym czasie uczyć intensywniej.

AB: — *Więc krótsze lekcje?*

ZJ: — Myślę, że 30 minut to jest optimum. Podczas wykładu uwaga słuchaczy najintensywniejsza jest podczas pierwszych 10—15 minut. Następnie słabnie, żeby zintensyfikować się w 25—30 minucie. Dłuższe zajęcia są stratą czasu. Brałem udział w skróconych lekcjach dr. Ryszarda Stępnia, który badał efektywność trzydziestominutowej nauki w kontekście falowania uwagi i sam się przekonałem, że lekcja mijała bardzo szybko, kończyłem ją z uczuciem niedosytu, przez cały czas jej trwania uwagę miałem napiętą, ale nie w sposób męczący.

AB: — *A więc jeszcze nowe konspekty i wyrabianie nowych przyzwyczajeń u nauczycieli. Na dodatek układaniem siatki zajęć w szkole powinien zająć się geniusz.*

ZJ: — Bo nie tylko godziny w ciągu dnia są ważne, także mają znaczenie określone dni tygodnia. Najtrudniejsze zajęcia powinny odbywać się w środę i czwartek. Całkiem rozsądne uzasadnienie ma więc szewski poniedziałek. Po wolnym dniu wielu ludzi nie ma ochoty na pracę i dowiedziono, że produkcja z pierwszych godzin początku tygodnia charakteryzuje się największą ilością błędów.

AB: — *Rytm dobowy wynika z obrotu ziemi wokoło osi, miesięczny związany jest z miesiącem księżycowym, rok to wynik obiegu ziemi dookoła słońca — jak wytłumaczyć rytm tygodniowy?*

ZJ: — Wydaje mi się, że jest to rytm sztuczny. Żadne ze zjawisk astronomicznych nie potwierdza tego rytmu.

AB: — *Ale miesiąc dzieli się na cztery tygodnie...*

ZJ: — Jednak sam tydzień jest nierozwiązaną zagadką. Część badaczy uważa, że tydzień jest wypracowany przez organizm, bo pewne hormony wydzielają się w cyklu siedmiodniowym. Trudno mi się z tym zgodzić, skoro organizm stanowi wynik ewolucji, którą spowodowały czynniki zewnętrzne. Myślę, że tydzień jest efektem rozwoju społecznego. Po dłuższej pracy należy się odpoczynek. Stwórca pierwszy do tego doszedł...

AB: — *Jakie inne biorytmy, prócz dobowych i tygodniowych, są dla nas ważne?*

ZJ: — Według teorii biorytmów, od urodzenia ludzie żyją w pewnych okresach dających się przewidzieć. Są trzy rodzaje cyklów: 23-dniowy wydolności fizycznej, 28-dniowy wrażliwości emocjonalnej i 33-dniowy sprawności intelektualnej. W każdym z tych cykli ma się swoje złe i dobre dni, które niekiedy zbiegają się w czasie. Wyjściowym punktem obliczeń jest data urodzin. Ja jednak mam co do tego wątpliwości, bo prowadząc badania nad biorytmami w dydaktyce, nie potwierdziłem ich istnienia u ponad 800 osób. Poza tym uważam, że nie można przyjmować za podstawę obliczeń daty urodzin, gdyż określone struktury mózgu hipotetycznie sterujące biorytmami — u niemowląt nie są rozwinięte.

AB: — *Więc nie ma tych biorytmów?*

ZJ: — Są, ale może powinny być inaczej obliczane. W tej sprawie żaden naukowiec nie ujawnia metod badawczych. To rodzi moje podejrzenia o spekulacje intelektualne.

AB: — *W książce pisze pan o sukcesach Japończyków, którzy zrobili biorytmiczne badania kierowcom w pewnej firmie transportowej i drogą prewencji, prowadzącą nawet do niewypuszczania w kurs ludzi w ich dniach krytycznych — znacznie zmniejszyli wypadkowość.*

ZJ: — Proszę pani, określone dni tygodnia, zła pogoda, większy ruch — sprzyjają wypadkom. U Japończyków też. Więc wystarczy przezorność.

AB: — *Ale skąd wiadomo wobec kogo?*

ZJ: — Jest dla mnie zagadką, w jaki sposób skorelowano fazę któregokolwiek z tych trzech biorytmów ze zmniejszeniem wypadków. U nas w kopalniach węgla inż. Kazimierz Wnuk prowadził badania nad uzależnieniem ilości wypadków od tych trzech biorytmów. W latach siedemdziesiątych w Szczecińskiej Fabryce Kabli „Załom" prowadzono badania związku wydajności pracy z aktualną fazą rytmu biologicznego. Te badania w pewnym stopniu potwierdziły spostrzeżenia Japończyków. Mimo wszystko sądzę, że Japończycy musieli brać pod uwagę prognozy biometeorologiczne.

AB: — *Kiedyś podawano je u nas przez radio...*

ZJ: — I szkoda, że zaniechano. Dobrze wiedzieć, czego można się po sobie spodziewać. Ze złe samopoczucie, bezsenność, nadwrażliwość są wyraźniejsze w zimie, w mieście, podczas ociepleń, gdy ciśnienie spada do 700 milibarów...

AB: — *Oczywiście dobrze też wiedzieć, którego dnia ma się dzień minorowy intelektualnie, fizycznie lub emocjonalnie. Moi znajomi, którzy robili sobie kalendarz złych i dobrych dni, mówili, że się sprawdzał.*

ZJ: — Sugestia czyni cuda. Na Zachodzie wyprodukowano zegar biologiczny, który wskazuje biorytmy na zamówiony dzień. Podobny zegar wyprodukowano z okazji moskiewskiej olimpiady, ma on jednak dokładność 7—8 dni...

AB: — *W książce o biorytmach wspomina pan o artykule dr. Liebera w „Time" z 1973 roku, który informował, że w roku następnym położenie Słońca, Ziemi i Księżyca na jednej osi będzie przyczyną wzrostu agresywności u ludzi. I nie pomylił się. Podobny szczyt agresywności ma wystąpić w latach 1982, 1990, 1992.*

ZJ: — Nie zaprzeczając wpływu księżyca na zachowanie się zwierząt i ludzi, z pewną ostrożnością podchodziłbym do astrologii. Podejrzewam w niej chęć wzbudzenia sensacji. Przy braku danych, że określona konstelacja planet wpływa na wzrost agresywności, tłumaczyłbym to nastawienie zjawiskami socjologicznymi.

AB: — *Jednak czytając książkę, odnosiło się wrażenie, że przychylnie traktuje pan zamieszczane w niej informacje, nawet nie wspomina pan, że ma inne doświadczenia z cyklami emocjonalnym, fizycznym i intelektualnym. Dlaczego dopiero teraz o tym pan mówi?*

ZJ: — W większej części książki nie deklarowałem ani aprobaty, ani dezaprobaty. Nie mogła być ona moim komentarzem do biorytmów, bo zajmowałem się tylko ich wąskim aspektem pedagogicznym.

AB: — *W pojęciu czytelnika fakt wydrukowania jest jakby uwiarygodnieniem...*

ZJ: — Co za nieporozumienie, nie jestem przecież ostatnią instancją. Inna sprawa, że wraca moda na zjawiska paranormalne ... i jest to sprawa wymagająca osobnego zbadania.

AB: — *Jednak czytając książkę, odnosiło się wrażenie, że przychylnie traktuje pan zamieszczane w niej informacje, nawet nie wspomina pan, że ma inne doświadczenia z cyklami emocjonalnym, fizycznym i intelektualnym. Dlaczego dopiero teraz o tym pan mówi?*

ZJ: — W większej części książki nie deklarowałem ani aprobaty, ani dezaprobaty. Nie mogła być ona moim komentarzem do biorytmów, bo zajmowałem się tylko ich wąskim aspektem pedagogicznym.

AB: — *W pojęciu czytelnika fakt wydrukowania jest jakby uwiarygodnieniem...*

ZJ: — Co za nieporozumienie, nie jestem przecież ostatnią instancją. Inna sprawa, że wraca moda na zjawiska paranormalne ... i jest to sprawa wymagająca osobnego zbadania.

OKOLICE SZTUKI

RYSUNEK JEST UCZCIWOŚCIĄ

„DESSIN c'est probité de l'art" — Rysunek jest uczciwością sztuki, twierdził Ingres, a zdanie to jako motto nie bez powodu trafiło do katalogu wystawy Antoniego Michalaka w kazimierskiej Galerii Letniej, którą niektórzy działacze miejscowego towarzystwa przyjaciół okolicy przezywają „owczarnią", choć ten tymczasowy salon ekspozycyjny posiada wiele uroku i chyba nie powinien być zanieniony na okazalszy przybytek, wytożony np. mozaiką z lusterek czy szkłem lupanym butelkowym barwy morskiej.

Michalak znany jest przede wszystkim ze swojego malarstwa olejnego, w którym, wzorując się na dawnych mistrzach, przykładał wiele uwagi do strony technologicznej, dzięki czemu nawet najstarsze obrazy ucznia Tadeusza Pruszkowskiego i członka „Bractwa św. Łukasza" są dziś tak świeże, tak laserunkami rozświetlone, jakby powstały niedawno. Uważniejszy obserwator spostrzeże co prawda na ich powierzchniach delikatną siatkę spękań, widoczną głównie w dużych kompozycjach religijnych, np. w „Ukrzyżowaniu ze św. Marią Magdaleną", które do momentu zdegradowania obrazu z powodów rzekomo doktrynalnych wisiało w centralnym miejscu jednego z kościołów lubelskich — ale nie mąci to ogólnego wrażenia świeżości malowideł.

Tymczasem wystawa urządzona przez Muzeum Kazimierza Dolnego we wspomnianej galerii (wrzesień—październik) potwierdza raz jeszcze, jak wiele czasu poświęcał artysta rysunkowi: sangwiną, węglem, ołówkiem, kredką, osiągając, szczególnie w pracach portretowych,znakomite wręcz rezultaty. Patrząc na wizerunki Marii i Jerzego Kuncewiczów, ojca i młodszego syna artysty, architekta Bohdana Pniewskiego, Teresy i Daniela Topolskich, Magdaleny Samozwaniec, grafika Konstantego Spółki, mecenasa Edwarda Berensa, malarza Stanisława Zielińskiego grafika Zygmunta Kamińskiego, ślepego żebraka kazimierskiego Kozdronia czy Wiktora Ziółkowskiego, a więc stykając się z tym właśnie fragmentem dorobku Michalaka, nie mogę pozbyć się myśli, że są to prace bardziej intrygujące, niż owe duże kompozycje religijne czy alegoryczne (jak dyplomowa „Bajka o szczęśliwym człowieku" z 1925 roku). Wabi mnie w tych sangwinach i pastelach czysta, klarowna konstrukcja głów, skupiona ekspresja i zaledwie szkicowe ujmowanie partii drugorzędnych pod względem semantyczno-personalnym, otwierające przed odbiorcą „pola pozornie puste", skłaniające go do wypełnienia mocą własnej wyobraźni. Dotyczy to przede wszystkim portretów Marii Kuncewiczowej i Jarosława Iwaszkiewicza, w którym głowa pisarza wyłania się z materii czerwonobrunatnej kredki (stosowanej przez artystów od czasów renesansu), co samo w sobie stanowi metaforę — tyle czytelną, co powściągliwą w artykulacji. Do tej grupy zaliczyłbym ponadto akwarelowany rysunek ołówkiem pt. „Studium portretowe mężczyzny" z 1939 roku, reprodukowany zresztą na okładce katalogu (który oprócz kiepskich fotografii zawiera bogaty i faktograficznie rzetelny tekst monograficzny autorstwa Jerzego Wyczesanego).

Wśród pozostałych rysunków wystawy znajdują się szkice do obrazów, projekty do witraży w katedrach: warszawskiej i wrocławskiej, kartony do fresku w kościele w Dratowie, pejzaże, sceny rodzajowe. Prace te powinni obejrzeć studenci uczelni plastycznych, a przynajmniej ci z nich, którzy — inteligentni — nie utracili jeszcze przekonania, że podstawą samodzielnej kreacji wizualnej jest opanowanie realistycznego warsztatu rysunkowego. W tej dziedzinie Michalak był mistrzem i pedagogiem — wymagającym. Wykładając w latach 1949—1969 na historii sztuki KUL, i mnie okresowo nauczał rysunku, niestety, bez godnych uwagi rezultatów. „Proszę pana — strofował niżej podpisane beztalencie — niech pan rysuje to, co pan widzi, a nie to, co pan wie o przedmiocie. Skąd u pana te kubistyczne ciągoty?". Ale chwalił mnie także za charakter pisma, podobno „rzeźbiarski"! Z tą moją kubistyczną orientacją Michalak i później miał kłopoty, bo kiedy w 1968 roku, już po skończeniu studiów, poproszono mnie o wypowiedź na temat rysunku podczas otwarcia wystawy jego szkiców w lubelskim Klubie MPiK przy Krakowskim Przedmieściu, znów zacząłem gawędzić o twórczości graficznej Picassa, Legera i ich następców, pobieżnie tylko zatrzymując się przy tym, co wisiało właśnie na ścianach i naprawdę zwracało uwagę.

„Dessin c'est probité de l'art", ale do tej prawdy trzeba dorosnąć.

IJK

DNI FILMU RADZIECKIEGO

OD 4 listopada, przez cały miesiąc, trwają Dni Filmu Radzieckiego, trzydzieste szóste z kolei.

Pierwszy raz polscy widzowie uczestniczyli w imprezie w roku 1947; urządzono ją wówczas między 1 a 10 października. W przeglądzie brało udział 6 filmów: „Admirał Nachimow", Pudowkina, „Wiosna" Aleksandrowa, „W imię życia" Zarchiego i Chejfica, „Ostatnia noc" Rajzmana, „Dwaj panowie F" Sawczenki oraz „Rodzina Artamonowych" Roszala. Już wtedy, poza filmami premierowymi, wprowadzono przegląd retrospektywny. Dni Filmu Radzieckiego od samego początku nie tylko informowały o najnowszej produkcji filmowej w ZSRR, ale pozwalały zapoznać się z najciekawszymi pozycjami tamtejszego kina od chwili jego narodzin. Były lata, które zapisały się szczególnie w pamięci widzów oraz krytyki, jako że związane z nimi „Dni" stanowiły odbicie nowych prądów artystycznych oraz przeobrażeń politycznych w radzieckiej kinematografii i w Kraju Rad. W 1957 r. oglądaliśmy pamiętny film Czuchraja — „Czterdziesty pierwszy", w 1959 r. na uroczystej warszawskiej premierze „Losu człowieka" witaliśmy Sergiusza Bondarczuka. Rok 1964 przyniósł pozycje szczególne: „Hamleta" Kozincewa, „Żywych i martwych" Stoplera i „Chodząc po Moskwie" Danieliji. Następny rok dał, przede wszystkim, „Ojca żołnierza" Czecheidze'a, zaś w roku 1966 zabrzmiały mocnym akcentem kinematografie republikańskie: „Nikt nie chciał umierać" Zalakiavicusa oraz „Cienie zapomnianych przodków" Paradżanowa. Najmocniejszym akordem ówczesnej imprezy był wszakże „Zwyczajny faszyzm" Romma.

W tym roku mamy w przeglądzie dziewięć filmów premierowych na taśmie 35 mm i trzy filmy na taśmie wąskiej, 16 mm. Zestaw pomyślany w ten sposób, że zawiera pozycje dla każdego widza: od filmów młodzieżowych, przygodowych, po poważne dramaty obyczajowe, psychologiczne oraz freski historyczne.

Spośród znanych reżyserów — tylko jedno nazwisko: Sergiusza Jutkiewicza. Prezentowany jest jego ostatni film — „Lenin w Paryżu", dzieło z gatunku „biograficznych", o paryskim okresie (1908—1912) życia i działalności przywódcy rewolucji.

Amatorów rozrywki zainteresuje z pewnością film muzyczny: „Kapelusz" Leonida Kwinichidze. Tym bardziej, że jego tematyka, rzadko raczej spotykana w radzieckiej kinematografii, to jazz. „Bohaterem jest utalentowany muzyk jazzowy, który przeżywa rozterki z powodu skomplikowanego życia osobistego i trudności w podporządkowaniu się regułom życia estradowego".

Osobiście zachęcałbym wszakże przede wszystkim do obejrzenia dwuczęściowego barwnego filmu kostiumowego Grigorija Kochana — „Jarosław Mądry". Opowiada on o latach panowania jednego z pierwszych władców Starej Rusi; obraz wyprodukowano w znanej kijowskiej wytwórni im. Aleksandra Dowżenki.

Wreszcie warto pamiętać, że lubelskie kino „Kosmos" włączyło do listopadowego repertuaru nowo film, który niejako „przeleciał" przez nasze ekrany w okresie wakacyjnym, chodzi o radziecko-szwajcarsko-francuską koprodukcję „Teheran 43" w reżyserii Aleksandra Ałowa i Władimira Numowa. Film z gatunku „political-fiction" historyczno-sensacyjny. Treść: historia udaremnienia przez kontrwywiad radziecki zamachu na Wielką Trójkę (Stalina, Roosevelta i Churchilla) podczas Konferencji Teherańskiej w 1943 r. Wśród plejady wykonawców są nazwiska aktorów o międzynarodowej sławie: Alaina Delona i Curda Jurgensa.

Lubelskie Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpowszechniania Filmów uzupełnia, jak co roku, przegląd główny — kilkuset tytułami w tematycznych zestawach retrospektywnych. Najbardziej przypadł mi do gustu zestaw dla kin województwa bialsko-podlaskiego: „Adaptacje literatury rosyjskiej" („Szlacheckie gniazdo", „Dama z pieskiem", „Wujaszek Wania", „Żywy trup") oraz propozycje Ośrodka Kultury Filmowej w Domu Nauczyciela w Lublinie — „Filmy nagrodzone na międzynarodowych festiwalach" („Lecą żurawie", „Tabor wędruje do nieba", „Dersu Uzała", „Moskwa nie wierzy łzom").

Kto jeszcze nie był na tych filmach, niech je obejrzy, bo naprawdę warto, ci zaś, którzy je już widzieli, nie stracą na powtórnym obejrzeniu.

(md)

36 tysięcy widzów

„Prezentacje"

NIE było i nie ma w Lublinie imprezy kulturalnej tak oczekiwanej przez publiczność, tak społecznie cenionej, jak doroczne „Prezentacje" naszej Estrady". Świadczy o tym choćby owe 36 tys. biletów, jakie sprzedano na październikowe koncerty i przedstawienia, stanowiące piętnastopunktowy program ostatnich, niedawno zakończonych „Prezentacji 82". Łatwo obliczyć, że ponad 10 proc. mieszkańców miasta zechciało wydać 150 zł (imprezy kameralne), 200 zł (teatralne) i 300 zł (masowe, w hali sportowej), by obejrzeć i posłuchać artystów miejscowych, warszawskich, krakowskich, poznańskich, wrocławskich, bydgoskich, toruńskich, czy występujących w barwach Jeleniej Góry.

„Bajm", Urszula Kasprzak z „Budką Suflera", Krzysztof Cugowski z „Crossem", DAB oraz „Exodus", „Republika", TSA — te wszystkie zespoły uczestniczące w meetingu wzbudziły zresztą tak wielkie namiętności wśród młodzieży, że nie bacząc na konsekwencje, chętnie kupowała ona sfałszowane bilety wstępu, podrobione nieźle, ale przecież nie doskonale. Tak czy siak, wiele osób przeniknęło do hali drogą nieoficjalną, wespół z innymi tłukąc co nieco po drodze. Gospodarze obiektu wysoko, co zrozumiałe, ocenili te zniszczenia, wystawiając „Estradzie" rachunki na 9 i 40 tys. zł. Wcześniej pobrali ponadto od organizatorów „Prezentacji" 600 tys. zł za wynajęcie przybytku na owe rockowiska i „szoł" Andrzeja Rosiewicza.

Ktoś powie, że takie fakty nie awansują „Prezentacji" do miana imprezy kulturalnej „społecznie cenionej", a frekwencja na meetingach to sprawa tyle normalna, co przynależna do subkultury o wątpliwym autoramencie: „naćpanej", płaskiej i histerycznej.

Wyjaśnijmy zatem, że wspomniane przypadki to nieodłączny margines każdej masowej imprezy młodzieżowej, a sposób bycia, upodobania i skale wartości tej grupy pokoleniowej nie biorą się z abstrakcyjnego nieba, lecz z życia modelowanego przez dorosłych, wyrażając się w specyficznym rytuale zbiorowych manifestacji, w melodyce i tekstach piosenek, np. rockowych, w których dominują motywy samotności, ucieczki, buntu, narkotycznego szczęścia, podawane grypserą czy innym slangiem. Moja generacja szalała za „Dudusiem"-Matuszkiewiczem, Jagiełłą, Warską, Dylągiem, Kazaneckim, Komedą, rycząc i tańcząc na ich koncertach. Wtedy też było ostro! Jako jegomość już starszy, rozumiem tych młodych, którzy oknami i drzwiami walą na występy „Budki Suflera", pięknie zresztą grającej.

Gdyby jednak sukces „Prezentacji" utożsamić bez reszty z frekwencją na rockowiskach, pierwsze zdanie niniejszego tekstu należałoby wpisać do nadbystrzyckiej księgi głupoty, lub wprowadzić — po drobnych zmianach terminologicznych — np. do jakiegoś referatu ogólnopolskiego seminarium na temat rewaloryzacji czy rewitalizacji zabytków. To zdanie znajduje uzasadnienie w czymś innym: w szerokości i jakości oferty artystycznej, z jaką wystąpiła „Estrada" od 11 do 29 października, znajdując odbiorców dla k a ż d e g o z proponowanych programów.

Oto bowiem w Lublinie, poza wspomnianymi zespołami rocka, zaprezentowali się kolejno: Józef Szajna z wystawą „Reminiscencje II", grafiką, malarstwem, environment (co najmniej 450 osób na spotkaniach z artystą), Hanna Banaszak (500 osób na widowni), Leszek Długosz (500), „Wały Jagiellońskie" (1200), Polski Teatr Tańca Conrada Drzewieckiego (900), Przemysław Gintrowski i Andrzej Łapiński z fragmentami spektakli: „Mury", „Raj", „Muzeum" (600), Maciej Zembaty z balladami Leonarda Cohena (1200), aktorzy lubelscy zaproszeni przez „Estradę" do „Pętli" według Marka Hłaski (400), kabaret „Koza Nostra" (600), śpiewający jazz Stanisław Sojka z zespołem (500), Andrzej Rosiewicz (osiem występów przed 16-tysięczną publicznością), Scena Plastyczna KUL z „Wilgocią" z 1978 roku (450), Wrocławski Teatr Pantomimy Henryka Tomaszewskiego z „Rycerzami Okrągłego Stołu" z 1981 roku (900 osób na widowni Teatru im. Osterwy). Niektóre zespoły wystąpiły dodatkowo...

Imprezy masowe i kameralne, recitale znanych i cenionych wokalistów oraz teatr, malarstwo i pantomima, kabaret i balet, tradycja obok awangardy, refleksja i brutalna ekspresja — a wszystko to, zaproponowane lublinianom w ramach „Prezentacji", chwaliło się z reguły wysokim poziomem artystycznym, czy choćby sprawnością realizacyjną.

Interesując się wielkim spektaklem pt. „Prezentacje 82", nie widzę potrzeby oceniania poszczególnych koncertów i przedstawień, które zresztą zrecenzowała prasa codzienna. Nie mogę się jednak powstrzymać przed wyznaniem, że z tego, w czym uczestniczyłem, największe wrażenie zrobili na mnie „Rycerze Króla Artura" według Henryka Tomaszewskiego, zresztą reżysera i choreografa spektaklu, do którego scenografię opracowała Zofia de Ines Lewczuk. Wrocławska pantomima to zespół znany w świecie, wielokrotnie poddawany analitycznej, fachowej obserwacji, więc nie wysilając się na tzw. sąd intelektualnie przepastny, zauważę tylko, że „Rycerze" mogą być wzorem konsekwentnej strukturalizacji przestrzeni: scenicznej i dramaturgicznej, w której wątek fabularny (mityczno-legendarny), ruch aktora, scenografia i kostium tworzą jedność wizyjno-semantyczną — o zdumiewającej sile sugestii.

Chciałbym także powiedzieć, że Stefan Lipiec, animator lubelskiego kabaretu „Koza Nostra", nie minął się z powołaniem wówczas, kiedy zbiegł z drogi życiowej, na jaką kierowało go wykształcenie prawnicze. Zresztą los czuwał nad tym człowiekiem powolutku popychając go w stronę sceny — początkowo w Szkole Podstawowej nr 6, gdzie uczył wychowania obywatelskiego i historii, opiekując się zarazem chłopcami, którzy stworzyli później kabaret „Bąbel". Ostatecznie Lipiec stał się profesjonalem, ale jakby nietypowym, bo pozbawionym skłonności do rutynowych zagrań, tak częstej wśród aktorów, którzy na zawodowe deski trafili z ruchu amatorskiego. Autor scenariuszy i innych tekstów kabaretowych, wykonawca o wyrazistej osobowości, reżyser — na „Prezentacje" Lipiec przygotował nowy program pt. „Koksownik — czyli brygada majstra Kafary", w którym oprócz niego wystąpili: Jolanta Werfel, Marek Bień i Roman Giertler. Rzecz dzieje się na budowie, aktorzy paradują w stosownych kombinezonach, ale w istocie chodzi tu o sprawy ogólniejsze, dotyczące ontologii naszej społecznej egzystencji, o to na przykład, że „Czas wyprostować polskie drogi (ważniejsze buty niż ostrogi) niech będą ludzie w miejsce mas". Mimo wszystko nie widzę możliwości, by z tym programem „Koza Nostra" mogła bezpiecznie wystąpić wśród prawdziwych budowlanych.

Na koniec o tym, do czego prowadzi amok erotyczny. „Rosiewicz jest piękny! Globtroter, erudyta, poliglota, najukochańszy nasz Cygan słowiański, nasz białuteńki Wuj (?) Tom — albinos. Słodki lord w waciaku, proletariusz nasz kochany pod muchą, złotousty, mister kamizelki! Udusić go można z miłości!" — wykrzyczała w gazecie niejaka „(fuga)", dodając jeszcze, że mistrz jest „supermęski i seksowny".

Ta adoracja, żartobliwa przecież, byłaby do zniesienia, gdyby nie fakt, że w hali WOSiR Rosiewicz popisywał się wielokrotnie dowcipem tyle płaskim, co ogranym. No cóż, widocznie miłość „(fugi)" do naszego Wuja Toma jest wielka i niekonwencjonalna: nie tylko ślepa, ale i głucha.

Z występu Rosiewicza coś mi jednak utkwiło w pamięci, ponieważ mam oto ochotę zawołać: „Minęły Prezentacje, więc z nudów zjedzmy sąsiada na kolację!".

I

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Dorecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pająk, Waldemar Piasecki, Waldemar Stępień (fotoreporter). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Marianna Obłoza.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14—16.
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 4, tel. 755-36.
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4. PL ISSN 0137-7108. Nr indeksu 38151. Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 1/3.
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 755-93, sekretarz redakcji 113-93, dział publicystyki i literacki 775-38.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 851 poleconе i ekspresowe — pod adresem redakcji.
Zam. 1497. T-IX-1982 r. R-4.

cras. 2552/1982/17

Z TEKI JOZEFA TARŁOWSKIEGO

KRZYŻÓWKA nr 1

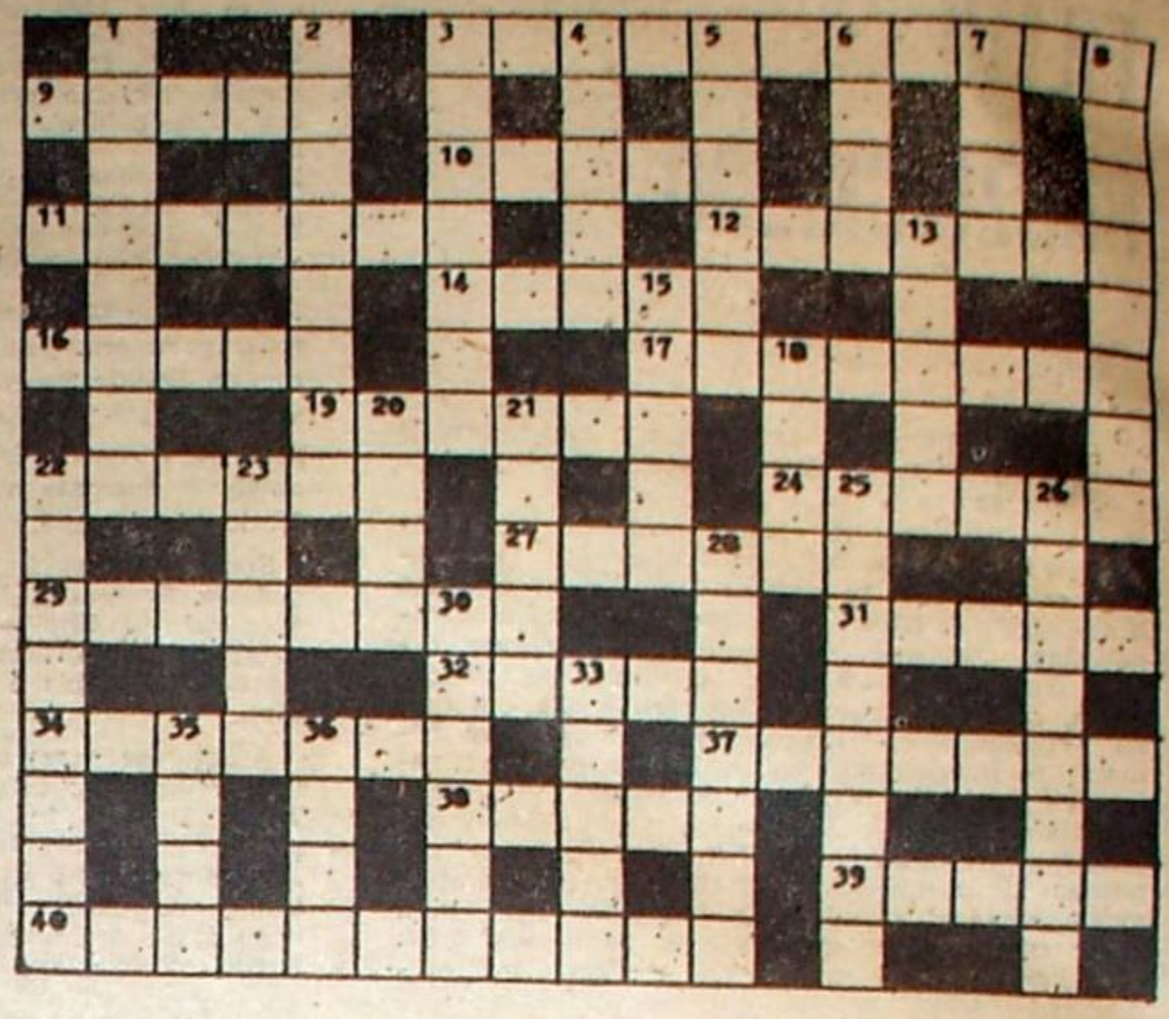

Poziomo: 3. pisarz polski zmarły w 1933 r., autor powieści o malarzach Chrząszczu i Szczygle, 9. nazwa, 10. pisarz francuski, laureat Nagrody Nobla, 11. tegoroczny laureat Nagrody Nobla w dziedzinie literatury (z nie krzyżującą się literą nie używaną w języku polskim), 12. pisarka francuska, żona L. Aragona, 14. miejskie drogi, 16. poziomy pas wysunięty przed lico ściany, 17. wyjechał z ojczyzny, 19. dawna stolica Polski, 22. sąsiadka Mazur, 24. deser z owoców, 27. dziki kuzyn psa, 29. wyciąg, esencja, 31. kwalifikowany materiał nasienny, 32. narzędzie grawera, 34. cieśnina łącząca Morze Jońskie z Adriatykiem, 37. kran przeciwpożarowy, 38. wąż dusiciel, 39. chodzi do szkoły, 40. pisarka polska, tworzyła z Kornackim grupę Przedmieście.

Pionowo: 1. nowela Żeromskiego o nauczycielce wiejskiej, 2. polski poeta i aktor, odtwórca ról inteligentów żydowskich, 3. broń pierwotnego człowieka, 4. samochód osobowy, w którym bagażnik łączy się z tylnym siedzeniem, 5. metoda, 6. człowiek śniegu, 7. hartowała się w tytule powieści Ostrowskiego, 8. zakład naukowo-badawczy, 13. wielkość, 15. przetwarza prąd z akumulatora na wysokie napięcie, 18. warstwa panująca w potężnym państwie indiańskim, 20. oprawa obrazu, 21. indyjskie grupy społeczno-religijne, 22. wielki ssak morski, 23. powieść Gorkiego, 25. technika druku kojarząca się z kliszą, 26. pozostałość dawnej powierzchni ziemi, kamień lub wzniesienie, 28. izba do gotowania, 30. jedna z form leku, 33. figura gimnastyki jogi, 35. bokserska scena, 36. pomieszczenie dla posągu bóstwa w starogreckiej świątyni.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (20-950 Lublin skr. poczt. 231). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy 1 bon wartości 500 zł.

Rock, czyli głos pokolenia

— Twoim najświeższym przebojem jest utwór grupy Lombard „Śmierć dyskotece!". Skąd ten tytuł? — pytam MARKA DUTKIEWICZA poetę, dziennikarza, chwilami filmowca, przede wszystkim zaś autora słynnych tekstów piosenek.

— Faktem jest, że nagranie nie grzeszy zbytnią czytelnością i od jakiegoś czasu z anielską cierpliwością odpowiadam na pytania znajomych: „o co w tym numerze chodzi?". Mówiąc serio, ja naprawdę nie przepadam za kulturą dyskotek, za „puszką, puszką na muzykę z blach stalowych konserwowych" Kaleczy gusta, zamiast cokolwiek uczyć. Kocham natomiast żywe koncerty: lepsze, czy gorsze, chałtury bądź misteria, bo w tym gatunku muzyki nie ma, moim zdaniem, nic wspanialszego ponad bezpośredni kontakt między ludźmi sceny i widownią. Na koncertach naprawdę wielkich dochodzi do autentycznego catharsis, czyli oczyszczenia przez sztukę. Zdaję sobie sprawę, że trudno to zrozumieć komuś, kto jest skazany wyłącznie na słuchanie płyt lub radia.

— Czy mógłbyś wspomnieć owe wielkie koncerty rockowe, w których zdarzyło ci się uczestniczyć?

— W Polsce, dawno temu, Rolling Stones, Animals, Hollies — wszystko w warszawskiej Sali Kongresowej. Potem w świecie: The Who w Kaliforni, stadion pod Berkeley; Rolling Stones — Madison Square Garden w Nowym Jorku; Jerry Lee Lewis — klub Ritz na 13 ulicy w Nowym Jorku; Bob Dylan — Byrne Arena w stanie New Jersey; Led Zeppelin i Santana — Festhalle we Frankfurcie; i wielki spęd ludzi w Central Parku w Nowym Jorku z okazji koncertu duetu Simon i Garfunkel.

— Ten ostatni koncert był w Polsce dosyć rozreklamowany; Marek Gaszyński prezentował płytę nagraną na żywo podczas występu. Czy mógłbyś powiedzieć coś więcej o tym wydarzeniu?

— Koncert zgromadził podobno 300 tysięcy ludzi — Simon i Garfunkel mieli wystąpić po raz pierwszy po dwunastu latach przerwy. Nie było biletów wstępu, a dochód ze sprzedaży płyt i plakatów przeznaczono na rozwój nowojorskich parków. Okutany w śpiwór, warowałem na trawie od szóstej rano. Byłem całkiem blisko estrady — w godzinę potem nie miałbym na to szansy, a około dziewiątej otaczało mnie już istne morze ludzkie, wyposażone w termosy, puszki, flaszki, balony, serpentyny i koszyki. Klasyczny piknik na trawie, tyle że dla ponad ćwierć miliona ludzi. Amerykanie w masie są niesłychanie serdeczni i życzliwi; uwierz, że naprawdę czas mi się zbytnio nie dłużył do wieczora.

Zaczęło się punktualnie o siódmej: w łagodnym, wrześniowym zmierzchu, przy równie łagodnej muzyce. Wszyscy znamy przeboje Simona i Garfunkela, nie ma więc chyba sensu znów wymieniać tytułów... Mocno zapadł mi w pamięć moment, kiedy to park rozjarzył się oceanem płomyków i ten największy na świecie chór zaśpiewał „Bridge Over Trouble Water".

— Przenieśmy się na krajowe podwórko. W Lublinie znalazłeś się chyba nieprzypadkowo?

— To prawda. Nie jest tajemnicą, że od jakiegoś czasu współpracuję na stałe z Budką Suflera. W tej chwili wraz z Romkiem Lipko zaczęliśmy przygotowania do nagrania albumu. Uprzedzając pytanie, niewiele mogę ci powiedzieć o kierunku, w którym obecnie zmierza Budka. Mnie osobiście muzyka ta jest bardzo bliska. Sądzę, że już w listopadzie wypuścimy w świat pierwsze nagrania.

— Powiedz zatem, jaka muzyka cię inspiruje?

— Najbliższa jest mi w tej chwili muzyka elektroniczna, także brytyjska „nowa fala". Marzyłbym o współpracy z grupą Ultravox, czy Flash and the Pan. Natomiast najtrudniej jest pisać dobre teksty do muzyki hard-rockowej czy heavy metal. Przykład bełkotliwych, zupełnie grafomańskich produkcji TSA jest najbardziej wymowny.

Marek Dutkiewicz

— Twoi faworyci?

— Na świecie: cały czas Bob Dylan oraz Mark Knopfler z Dire Straits. Jego ostatnie dzieło „Love Over Gold" zachwyca i wzrusza. W Polsce — niezmiennie Kora Jackowska. Różni „twórcy" próbują ją przebić lub choćby jej dorównać, ale nikomu się to, jak dotąd, nie udało.

— Słuchając produkcji rockowych ostatniego okresu, trudno nie dostrzec ogromnych przeobrażeń. Myślę nie tyle o zmianach w warstwie formalnej, co w treści utworów.

— Rzeczywiście są i to spore; legło parę barier, które wydawały się nie do pokonania. Śpiewa się o moralnych niepokojach pokolenia, próbującego rozliczyć się ze światem swych rodziców. Śpiewa się też o utraconym micie dzieciństwa, o idyllicznym okresie bardzo wczesnej młodości. Nagle okazało się, że i sprawy seksu wcale nie muszą być tabu. Bardzo świeżym zjawiskiem na firmamencie tego nurtu rocka są teksty toruńskiej grupy Republika. Po intrygującym „Kombinacie" pojawiło się jednak kolejne nagranie: „Sexy doll", do której to piosenki nie mam zupełnie przekonania. „Kombinat" działo się tu i teraz, natomiast najbliższe „sexy-lalki", o których śpiewa Republika, można zobaczyć na wystawach sex-shopów w Kopenhadze i nie wydaje mi się, aby w naszych warunkach ów symbol był dobrany zbyt fortunnie. Z utworów najnowszych, najpiękniejszą seks-balladą jest dla mnie piosenka Martyny Jakubowicz „W domach z betonu nie ma wolnej miłości", ze słowami Andrzeja Jakubowicza.

— Jak widzisz rolę poezji rockowej w naszej dzisiejszej kulturze?

— W czasach kryzysu wielu gałęzi kultury, w czasach podupadającego teatru i dychawicznej literatury — muzyka i poezja rockowa stoją przed wielką szansą: wytworzenia własnej, oryginalnej kultury. Utwór „Autobiografia" grupy Perfect, przy wszystkich swoich formalnych słabościach, jest tego najlepszym przykładem. To i jemu podobne nagrania mogą pomóc wielomilionowej rzeszy fanów rocka w zyskaniu s a m o ś w i a d o m o ś c i pokoleniowej. Tego, o co biłem się zarówno w „Królach życia", śpiewanych przez Kombi, jak i w „Za ostatni grosz" Budki Suflera.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: Istvan Grabowski